

KORRESPONDENT WARSZAWSKI

nr 6

kwiecień 2022

korrespondent.pl



Nie takie Szmulki straszne, jak je malują

Najlepszy amatorski klub piłkarski w Europie zarządzany przez kibiców, wyjątkowa rzemieślnicza piekarnia wraz z prywatnym muzeum chleba, w którym najstarsze eksponaty sięgają XIX wieku, gigantyczny kościół przeniesiony jakby z przedmieść Rzymu, dawna fabryka wódek z pierwszym w Polsce campusem Google'a, aktywni mieszkańcy walczący o przeznaczony do wycinki park i niszczące zabytki, dziergający włóczkowe wdzianka na uliczne słupki, zazieleniający po partyzancku podwórka i ulice...

To Żąbkowska, Radzymińska, Kawęczyńska, Łochowska, Łomżyńska, Wołomińska, Siedlecka i Grajewka. Nazwy ulic związane z miejscowościami położonymi na północny-wschód od Warszawy. To również pozbawione bogactw zdobień, raczej proste czynszowe kamienice z przełomu XIX i XX wieku, poprzecinane socjalistycznymi blokami. Zajeżdźnia tramwajowa i Dworzec Wschodni. Wszystkie te elementy składają się na obraz jednego z najmniej znanych osiedli w centrum Warszawy – obarczonej wieloma stereotypami praskiej Szmulowizny.

BLASKI I CIENIE MODY NA SZMULKI

Choć jeszcze niedawno Szmulowizna kojarzyła się większej części warszawiaków z ciemnymi zaułkami i szemranymi interesami, wizerunek osiedla z roku na rok się poprawia. Nie jest już postrzegane jako niebezpieczne i „dziwne”. Jeżeli dodamy do tego fakt, że okolica położona jest blisko centrum stolicy, oczywisty

staje się wzrost zainteresowania wśród deweloperów niezabudowanymi terenami oraz zaniebanymi zabytkami Szmulek.

Niestety często ma to postać działań, które trudno nazwać pożądanymi – pod kilofem znikają wartościowe budynki, takie jak chociażby XIX-wieczny dworek przy Radzymińskiej (obecnie odbudowywany w zmienionej formie). Okolice obfituje też w tajemnicze podpalenia i samoistne katastrofy budowlane niektórych zabytkowych kamienic (jak w przypadku jednego z budynków przy ul. Kawęczyńskiej, który w trakcie remontu... zawalił się – na szczęście bez ofiar). Sprawców zazwyczaj nie udaje się znaleźć, a co dopiero pociągnąć do odpowiedzialności.

Inną mroczną stroną rosnącej popularności Szmulek jest kładący się na okolicę cień reprivatyzacji. Co prawda po ostatniej nowelizacji Kodeksu postępowania administracyjnego zwrot zamieszkałych kamienic nie jest

już możliwy, ale zanim to nastąpiło, wiele rodzin straciło lokale, które zamieszkiwało nawet od 1945 r.

Jednym z bardziej rażących przykładów jest sprawa kamienicy przy ul. Otwockiej, którą przejął jeden z niechlubnych bohaterów warszawskiej reprivatyzacji Marek Mossakowski (formalnie właścicielką budynku została jego matka). Mieszkańców się pozbyto, a budynek został wyremontowany... i do tej pory stoi pusty. Do innych zreprivatyzowanych kamienic w większości wprowadzili się już nowi mieszkańcy – nieświadomi losów dawnych lokatorów.

JAKA BĘDZIE PRZYSZŁOŚĆ OKOLICY?

Moda na Szmulki i Michałów to na szczęście nie tylko samowola deweloperów i mroczne interesy rekinów reprivatyzacji. Blask odzyskuje coraz więcej kamienic, pojawiają się windy i inne udogodnienia dla lokatorów (czasem są to tak podstawowe sprawy jak zadbane

podwórka czy oddzielne łazienki!), remontuje się ulice i rewitalizuje tereny zielone. Program rewitalizacji – przy wszystkich swoich wadach – powoli zmienia okolicę na lepsze. Wyraźnie widoczne są też przykłady dobrych praktyk wśród deweloperów – jednym z nich jest gruntowna rewitalizacja dawnych zakładów spirytusowych Koneser, dzięki której fabryka stała się nowym centrum osiedla, przyciągającym co weekend ciekawskich z całej Warszawy.

Ruszyło też uchwalanie planów miejscowych. Co prawda część wartościowych terenów i budynków już zniknęła pod nową zabudową, ale w przypadku Michałowa zostanie to częściowo zrekomensowane nową zielenią wytyczoną w planie miejscowym oraz nowymi ciągami pieszymi, skracającymi drogę mieszkańcom (m.in. z okolic ulicy Siedleckiej do parku Michałowskiego czy pętli tramwajowej).

Dokończenie na s. 2

Nie takie Szmulki straszne, jak je malują

Niestety reszta Szmulek jeszcze czeka na uchwalenie planu. Pozostaje mieć nadzieję, że nastąpi to jak najszybciej.

GDZIE BYWAĆ, KOGO ZNAĆ?

Pytacie, po co odwiedzić Szmulki? Podpowiadamy. Warto się wybrać na mecz piłkarzy lub piłkarek zarządzanego przez kibiców klubu AKS Zły. To najlepszy amatorski klub piłkarski w Europie, który swoje domowe mecze rozgrywa na słynnej Don Pedro Arenie, czyli stadionie DOSiR przy Kawęczyńskiej 44. Koniecznie trzeba zobaczyć monumentalną bazylikę Najświętszego Serca Jezusowego przy Kawęczyńskiej 53, której fasada stylizowana jest na jedną z bazylik rzymskich.

Miłośników dobrych smaków zapraszamy do rzemieślniczej piekarni Manufaktura Wypieków, która od lat 80. XX wieku działa przy Jadowskiej 2 – niedawno pomagaliśmy ją ratować, gdy właściciele stanęli przed trudną decyzją, czy działać dalej w obliczu gwałtowniejących cen gazu. Przy piekarni działa również niewielkie, ale ciekawe muzeum chleba (wstęp darmowy). Fanom słodkości polecamy rodzinną cukiernię Strzałkowskich, która przy Kawęczyńskiej 4 działa od 1945 r.

Szmulki to również tradycyjne rzemiosło – warto odwiedzić galerię Szufłada czy pracownię kołder Haliny Rostkowskiej (te zakłady znajdziecie obok cukierni), pracownię ceramiczną przy Zachariasza 10 oraz warsztat rowerowy Chyżo Bike przy Siedleckiej 26. Bibliofili odsyłamy z kolei do Antykwarium Praskiego (Kawęczyńska 22).

ZACZĘŁO SIĘ OD SZMULA ZBYTKOWERA

Szmulowizna – popularnie zwana Szmulkami – to otoczona z trzech stron torami kolejowymi enklawa w obrębie Pragi-Północ, stereotypowo postrzegana przez pryzmat drobnej przestępczości, problemów społecznych, „ulicznego charakteru” i pewnej dozy peryferyjności. Z tego powodu, mimo niewielkiej odległości od centrum miasta, jeszcze do niedawna nie kojarzyła się z dobrym miejscem do mieszkania, a raczej osiedlem, na którym można stracić zęby.

Historycznie podobno faktycznie tak było. Z opinii osób urodzonych na Szmulkach można wnioskować, że bywało ciężko. Folwark, który pod koniec XVIII wieku stał się własnością Szmula Jakubowicza Sonnen-

berga zwanego Zbytkowerem (swego czasu najbogatszego Żyda w Warszawie), szybko zmienił się w dzielnicę przemysłową pełną ubogich czynszówek, drewnianej zabudowy oraz wszechobecnych zakładów – produkujących od mydła i świec przez konfitury po farby drukarskie, druty, gwoździe oraz... silniki lotnicze.

Przedwojenne Szmulki były pełne dymiących kominów i tysiący robotników. Przemysł zresztą nie opuścił Szmulowizny do dziś – nadal działa tu Fabryka Obrabiarek Przemysłowych „Avia”, jeden z najstarszych zakładów produkcyjnych Warszawy.

SZMULOWIZNA CZY MICHAŁÓW?

Skąd pochodzi nazwa Szmulowizna, już wiemy, ale dlaczego na mapach okolicy pojawia się czasami nazwa Michałów? Odpowiedzi należy szukać w osobie księcia Michała Radziwiłła, inicjatora budowy monumentalnej bazyliki Najświętszego Serca Jezusowego, świątyni jakby przeniesionej na praskie przedmieścia z innego świata. Choć budowę dokończyła jego żona Maria, okolice bazyliki do dziś nazywane są Michałowem. Oboje są upamiętnieni jako patroni niewielkiego skweru tuż za pętlą tramwajową Kawęczyńska-Bazylika.

W dwudziestolecie międzywojennym fabrykanci, nauczyciele oraz księża założyli Towarzystwo Przyjaciół Michałowa. Jego następcą, już w XXI wieku, stało się Praskie Stowarzyszenie Mieszkańców „Michałów”. Od czasu jego działalności można mówić o prawdziwej rewitalizacji Szmulek. To skupieni wokół PSM „Michałów” mieszkańcy dzielnie walczyli o ocalenie jedynego parku w okolicy (znaczną jego część pochłonęła Trasa Świętokrzyska), ocalili przed zabudową i udostępniili mieszkańcom teren zielony po dawnym ogrodzie jordanowskim przy ulicy Otwockiej, doprowadzili do modernizacji ulicy Kawęczyńskiej (powstały na niej pierwsze w Warszawie wyniesione przystanki tramwajowe, tzw. wiedeńskie), walczą o ocalenie cennych zabytków (Młyn Michła, Drucianka czy wspomniany drewniak), doprowadzili też do uchwalenia w ubiegłym roku planu miejscowego. Wreszcie to dzięki PSM „Michałów” na Szmulkach powstał i przez lata działał słynny dom sąsiedzki Moje Szmulki – miejsce aktywności lokalnej, animujące działania mieszkańców i mieszkank. Pewną kontynuację działań domu sąsiedzkiego sta-

nowi inicjatywa naszego stowarzyszenia Porozumienie dla Pragi – „Punkt dla Pragi” przy ul. Łochowskiej 1/29.

Z działalności lokalnych stowarzyszeń przykład biorą sami mieszkańcy i mieszkanki. Wyraża się to chociażby w trosce o najbliższą, podwórkową przestrzeń aranżowaną na przepiękne oazy zieleni. Ciekawe ogródki sąsiedzkie spotkacie przy Siedleckiej 29, Kawęczyńskiej 45, Łochowskiej 43 czy na zamienionym w uliczny ogród pasie zieleni przy Zachariasza.

DREWNIANKI, KAMIENICE I BLOKI

Początkowo Szmulki pokrywała zabudowa drewniana, skupiona wzdłuż ulicy Radzywiłłowskiej (pamiętką po drewniakach jest zachowana do dziś oficyna Burkego z 1890 r.). Z początkiem XX wieku zaczęły powstawać murowane kamienice wzdłuż Kawęczyńskiej. Rozwinęła się również zabudowa kwartałowa między obiema ulicami wyznaczającymi nieformalne granice Szmulek. Budynki mieszkalne w niewielkim stopniu uległy zniszczeniu wojennym, natomiast inaczej sytuacja miała się z zakładami przemysłowymi czy infrastrukturą komunikacyjną, którą Niemcy zniszczyli.

To wszystko wymagało po wojnie odbudowy. W latach 50. pojawił się pomysł na wyburzenie zabudowy kamienicowej i wprowadzenie w jej miejsce budownictwa socrealistycznego na wzór MdM-u (osiedle Michałów). Z tych planów nic nie wyszło, jednak w latach 70. rozpoczęto wyburzenia, robiąc miejsce pod wysokie bloki w standardzie wielkiej płyty. Bezpowrotnie zniszczono przedwojenną siatkę ulic, ponadto powstały w wielu miejscach wyrwy w zabudowie, których do dziś nie wypełniono. Budowa bloków stanowiła jednak duży skok cywilizacyjny w stosunku do dziewiętnastowiecznych kamienic, których lokatorzy często pozbawieni byli tak podstawowych wygód jak własna toaleta czy dostęp do ciepłej wody. Wiele z tych budynków kapitalnych remontów doczekało dopiero po 2015 roku dzięki programowi rewitalizacji.

Szmulowizna staje się coraz bardziej popularna. To już nie to samo miejsce co na początku XXI wieku. Jest jeszcze wiele problemów do rozwiązania, takich jak bariery przestrzenne na granicy z Nową Pragą i Targówkiem w postaci torów i szerokich arterii, kiepska jakość powietrza, brak remontów ulic, często chaotyczna zabudowa. Z drugiej strony widać jednak odnawiane kamienice, lokalną aktywność i tradycyjnych rzemieślników. Taki jest obraz Szmulek A.D. 2022. Zachęcamy do odwiedzin!

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ
KRZYSZTOF MICHAŁSKI

Stowarzyszenie Porozumienie dla Pragi

Szanowne Czytelniczki, Szanowni Czytelnicy!

Kiedy piszę te słowa, na Ukrainie nadal toczy się wojna, która rozpoczęła się ponad miesiąc temu. Wielu z Was od miesiąca wspiera osoby, które są zmuszone uciekać ze swojego kraju. Myśli większości z nas ciągle krąży wokół tego tematu. Wyrazem tego są także teksty, które możecie przeczytać w kwietniowym wydaniu „Korrespondenta”. Po raz pierwszy zamieszczamy w numerze tekst w języku ukraińskim, aby nowi mieszkańcy i mieszkańcy Warszawy mogli znaleźć w naszej gazecie kilka słów w swoim ojczystym języku. Co poza tym? Filip Jegliński pisze o fascynującej historii warszawskiej rzeki Drna i zamieszkujących jej okolice owadach. W tym numerze piszemy także o Airbnb i ekonomii współdzielenia, klimacie, karmieniu wszy i miłości. Przybliżamy sprawy żoliborskie oraz oddajemy głos naszym najmłodszym czytelnikom, którzy opowiadają o tym, co wiedzą o wojnie i co chcieliby na ten temat wiedzieć. Życzę przyjemnej lektury i chwili oddechu w tych trudnych czasach.

Redaktor
naczelną
BOGNA
KIETLIŃSKA



DR BOGNA KIETLIŃSKA
Redaktor naczelną

ZBIGNIEW MENTZEL
Opieka merytoryczna

KAROL GÓRSKI
Lifestyle

KAROLINA MOŁSKA
Sprawy społeczne

HUBERT ZARZYCKI
Społeczństwo

KAMILA SNOPEK
OKTAWIA WRZESIEŃ
Kultura

KONRAD RYSZARD WYSOCKI
Seksualność

ANNA SUSKA
Obywatelskość

MICHAŁ CHILIŃSKI
Varsavianistyka

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ
Praga

JAN GOLIŃSKI
Miasta i regiony

BARTEK WÓJCIK
Historia

FILIP PYŚNIAK
Sport

MARTYNA PACHOLAK
Felieton

MONIKA MIŁOSZ
Zdrowie

JAKUB SZCZUDŁOWSKI
Korespondencje zagraniczne

ALEKSANDRA
ZALEWSKA-KRÓLAK
Dzieci

PAULINA UHLIG
MARIA BYKOWSKA
MARIA WYSOCKA
LUCY KUDŁA
Młodzieżowy Strajk Klimatyczny

ANTONI KOSTRZEWA
Architektura

FILIP JEGLIŃSKI
Korzenie i żyły miasta

KATARZYNA BUŚŁOWSKA
Korekta

KAMILA KRUPIŃSKA
Sekretarz

ALEKSANDRA OŁDAK
Ilustracje

ALEKSANDRA PAPUGA
Biuro

KONTAKT

redakcja@korrespondent.pl
korrespondent.pl



KORRESPONDENT
WARSZAWSKI

WYDAWCA

BAZAR
WARSZAWSKI

Wiktor Jasionowski
Kleczewska 44/3 01-826 Warszawa



Czym żyje Żoliborz

Ostatnio, jak co noc, zataczam kółka na rowerze po ulicach Żoliborza. Powietrze szybko pozbywa się ciepła, którego nabrało podczas wciąż nieśmiałyłch słonecznych godzin dnia.

Wraca siarczysty mróz i kto może, chowa się do domu. Ale nie każdy chce. Niektórych niepokojne myśli zaprowadzą do któregoś z żoliborskich barów, w których weekend nie chce się skończyć. Ostatnio temat jest tylko jeden, jednak, jak wszyscy sobie po cichu przyznają, nie jest to nie powód, aby rezygnować z normalnego życia. I to normalne życie i jego normalna wyjątkowość dają o sobie znać.

Świat towarzysko-kolarski zelektryzowała wieść o powrocie nocnych wyścigów rowerowych. Od sukcesu, jakim okazał się wyścig wokół skweru AK „Żniwiarz”, organizatorzy Paweł, Jeremi i Mikołaj nie zwolnili tempa. Zanim kurz zdążył opaść po poprzednim wydarzeniu, nowo powstałe, ale jakby dobrze już znane Żoliborskie Towarzystwo Rowerowe ogłosiło rajd Tour de Canal.

Puść kaczkę w weekend

Organizatorzy całe przedsięwzięcie opisać na swojej stronie na Facebooku. W planach, tak jak poprzednio, były starty na dwa dystanse, ale także kiermasz z plakatami i koszulkami, z którego cały dochód został przekazany fundacji Ocalenie.

Co jeszcze zaplanowali chłopcy? Postanowiłem to sprawdzić, zanim do reszty pochłonęła ich organizacja przedsięwzięcia. Zostałem przez nich fantastycznie przyjęty w ich mobilnym biurze, w lokalizacji nie mniej oczywistej

niż legendarny garaż podziemny pod placem Wilsona. Z widokiem na serce dzielnicy po jednej stronie i wieże kościoła św. Kostki po drugiej prezesa przedstawili mi swoją wizję. Rajd tym razem odbywał się nieco wcześniej, czym mógł zachęcić do udziału szerszą publiczność. Idea sportowej rywalizacji miała ustąpić nieco samej przyjemności spędzania czasu aktywnie i w towarzystwie lokalnej społeczności i przyjaciół. Chociaż organizatorzy sami przyznali, że może się to okazać trudne ze względu na duże zainteresowanie, to chcieli, aby każdy uczestnik rajdu poczuł się jak zwycięzca.

Prócz prac artystów, które pojawiły się na kiermaszu, wyróżniał się także sam projekt grafiki Tour de Canal, przygotowany przez Jeremiego. Wokół nieco jakby roztopionej kaczki (czy to efekty nielegalnego dokarmiania chlebem?) krąży sylwetki rozpedzonych rowerzystów. Pieniądże zebrane podczas wyścigu zostały przekazane na pomoc osobom dotkniętym przez wojnę w Ukrainie. Start odbył się w sobotę 19 marca o godz. 20.

Wrzawa o dzierżawę

Wyścigi rozpoczęły się obok kultowego baru Pivosz, wszystkim znanym bliżej pod nazwą „U Araba”. To już kolejny lokal, po Prochowni w parku Żeromskiego, który przegrał walkę z urzędnikami mimo aktywnego wsparcia, nie tylko od mieszkańców Żoliborza. Lokale te na stałe wpisały się w krajobraz dzielnicy. Popularność zawdzięczały niezwykłemu położeniu – dzięki nim każdy spacer mogłem kiedyś umilić sobie jakimś przekąską, herbatą albo piwem, które przyciągało tłumy także po zachodzie słońca. Picie piwa w plenerze ma olbrzymie grono amatorów i jestem jednym z nich. Wiedzą o tym policjanci, którzy z latarkami patrolują park Żeromskiego, psując randki i stresując spacerujących.

Obrońcy lokali mówią o przerwaniu tradycji, wymazaniu z mapy miasta miejsc, które łączyły mieszkańców. Miasto broni się przepisa-

mi, według których miejsca te mogą zmieniać właścicieli co trzy lata. O sytuacji wypowiadają się jednak także właściciele innych żoliborskich pijalni. Zwracają uwagę, że dotychczas bary te, jak święte krowy, korzystały ze specjalnych praw. Mówi się o bardzo niskim czynszu, jaki płaciła kawiarnia Prochownia, zupełnie niewspółmiernym do zysków, jakie generowała chociażby w jeden letni weekend. Dodatkowo, kiedy inne warszawskie bary płaciły krocie za swoje ogródki piwne, ogrodem piwnym Prochowni stawał się nieformalnie cały park.

Pamiętam, kiedy jeszcze jako nastolatka do kawiarni naprzeciwko Fortu Sokolnickiego wabiły mnie nocami głośne odgłosy imprez. Prochownia przez lata testowała na mieszkańcach Żoliborza granice ich wytrzymałości. Imprezy przeobraziły się z czasem w silent disco, pojawiły się to i to przyozdobione wojskowym kamuflażem, a ścieżki wydeptane wokół baru zastąpiły tabliczki z ostrzeżeniami. Najwidoczniej urzędnicy liczą, że wraz z kressem kawiarni zakończą się wszystkie te ekscesy, lub zauważyli, że mogą na nich nieźle zarobić. Niezależnie od powodów przewiduję, że bary Prochownia i U Araba wyznaczyły trendy, które kolejne kopie tych kultowych miejsc

będą starały się powielać. Z jakim skutkiem? Niedługo się przekonamy.

Bejom won

Siła wyższa, która zabawia się emocjami żoliborzan, nie może sobie pozwolić na nudę. Niedawno przy pl. Wilsona doszło do subtelnej z pozoru zmiany. Restauracja Amrit została zastąpiona konkurencyjnym Kebab Kingiem. Zmianę tę odnotował między innymi tajemniczy, mówiący jakby głosem podziemi Żoliborski Komitet Sąsiedzki: „Zakończył też działalność Amrit Kebab (sprzedawano tam piwo). Już za parę tygodni ochlapusy liczące na tani napitek będą musiały obejść się z pyszna. [...] W inteligentnym Żoliborzu nie chcemy żuli, lumpów, bejów, sztajmesów”. Wypowiedzi Komitetu, których raczej nie powinno się traktować zbyt poważnie, wydają się zainspirowane czarnymi charakterami takimi jak Riddler z nowego „Batmana” mszczący się na mieście Gotham za jego zbrukaną moralność. Jakby na przekór temu niedaleko placu otworzył się nowy lokal: Restauracja J: Stary Żoliborz, w której w przystępnej cenie można dostać półlitrowego drinka z aperolem i wypić go w otoczeniu pięknych przykładów nowoczesnego polskiego wzornictwa.

Komitet skłonił mnie do przemyśleń nad moją własną tożsamością bejowską. Czy jestem bejem? Tak! I to w głowach bejów takich jak ja kipi od pomysłów na spożytkowanie energii drzemiącej w Żoliborzu. Czy tego chcecie, czy nie, beje będą tworzyć, burzyć i wywracać tę naszą małą oazę spokoju. Na niebie próżno więc wypatrywać znaku nietoperza, wzywającego strażnika sprawiedliwości. Wsiadam na rower i jadę przed siebie, zastanawiając się, czym jeszcze zaskoczy mnie miasto. Zresztą muszę trenować, bo wygląda na to, że na kolejną edycję wyścigów nie trzeba będzie długo czekać.

TEKST: ANTONI KOSTRZEWA
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK

Zanim kurz zdążył opaść po poprzednim wydarzeniu, Żoliborskie Towarzystwo Rowerowe ogłosiło rajd Tour de Canal. W programie były starty na dwa dystanse, a także kiermasz z plakatami i koszulkami, z którego cały dochód został przekazany fundacji Ocalenie.



Kobieta jest silniejsza niż wojna

„Życie jest jak podróż. Spakuj tylko to, co najbardziej potrzebne, bo musisz zostawić miejsce na to, co zbierzesz po drodze” – to cytat, który towarzyszy wystawie „Tamara Łempicka – kobieta w podróży”. Ekspozycja została otwartej 18 marca, w 42. rocznicę śmierci artystki. 60 niezwykłych dzieł można oglądać do 14 sierpnia w Muzeum Narodowym w Lublinie.

Przyszło nam żyć w dziwnych czasach. Nic już nie jest takie, jak było, niczego nie można już brać za pewne. Nie potrafiliśmy objąć umysłem tego, że w Europie może nadejść wojna. Że będą ginęli ludzie, dzieci. Że niszczone będą miasta. Kilka tygodni temu to wszystko stało się faktem, a my obudziliśmy się w nowej rzeczywistości. Dziwny był też w tym roku Dzień Kobiet. Obok tych, które czekały na kwiaty i czekoladki, były kobiety, które czekały na cud. Taki, który sprawi, że jutro obudzą się w swoim łóżku w swoim kraju. Cud, który sprawi, że można cofnąć czas...

Podróż dziś

Cytat towarzyszący wystawie koresponduje z bieżącymi wydarzeniami. Miliony uchodźców z Ukrainy schronienie znajdują w Polsce. Zanim to jednak nastąpi, muszą przejść drogę, która jest trudna nie tylko pod względem fizycznym, ale też psychicznym. Uciekają przede wszystkim kobiety z dziećmi. Zostawiają swój kraj, swoich bliskich, tamtejsze życie. Pod tym względem wymowny jest również czas, w którym prezentowane są dzieła Tamary Łempickiej. Jej życie pełne było podróży, tułaczki, dróg do pokonania. Dziś wiele takich dróg pokonać muszą kobiety z Ukrainy, które szukają spokojnego miejsca, przystani

dla siebie i rodziny. Wystawa ta ma w tym sensie wymiar symboliczny. Ukazuje prace, które do tej pory nie były szeroko prezentowane, jak „Ucieczka” czy „Uchodźcy”.

– Dla nas w tym momencie są to obrazy, które mają bardzo duży wydźwięk – podkreśla Aleksandra Blonka-Drzażdżewska z Muzeum Narodowego w Lublinie. Otwarcie wystawy jest jednak przede wszystkim hołdem dla artystki, gdyż 18 marca obchodziliśmy 42. rocznicę jej śmierci. Na wystawie można zobaczyć 60 prac jednej z najważniejszych przedstawicielek stylu art déco, którym towarzyszą przedmioty codziennego użytku – meble, stroje, maszyny, wyroby rzemiosła artystycznego. Obrazy pochodzą z muzeów francuskich i polskich oraz z prywatnych kolekcji. To pierwsza w Polsce tak duża wystawa tej artystki.

Tamara de Lempicka

Rozalia Gurwik-Górska, czyli Tamara Łempicka, to polska artystka, która najpewniej urodziła się w Warszawie 16 maja 1898 roku, choć data i miejsce jej narodzin do dziś budzą wiele wątpliwości. Dorastała w Sankt Petersburgu, gdzie nie znała trosk ani problemów. Od najmłodszych lat wykazywała zdolności plastyczne. Pobierała nauki w Lozannie. Podróżując po świecie, poznawa-

ła zwyczaje i kultury innych krajów. Otwierała się na sztukę i pragnęła jej. Wybuch rewolucji w Rosji zmusił ją do ucieczki. Wyjechała do Danii, a następnie wraz z mężem Tadeuszem i córką Kizette udali się do Francji.

Zmiana warunków życia na znacznie gorsze oraz ciągle kłótnie z mężem obudziły w niej pragnienie o staniu się kobietą niezależną. I tak też zrobiła. Doskonaliła swoje umiejętności w Académie Ranson. Uczęszczała na zajęcia, ciężko pracowała i wierzyła w swój sukces. Przede wszystkim szukała jednak swojej sztuki, która odda jej emocje i pragnienia. Miała w sobie głód, który kazał jej walczyć o przyszłość. „Nie ma cudów. Jest tylko to, co uczynisz” – ta myśl towarzyszyła jej w drodze do upragnionych marzeń. A one w końcu zaczęły się spełniać...

Paryż lat 20. XX wieku stał się miejscem, w którym Łempicka wykreowała swój własny, niepowtarzalny styl. Wpisał się on w nową epokę, nazwaną później art déco. Artystka uwielbiała nocne kawiarniane życie. „Dni były zbyt krótkie, ale noce należały do Tamary. W starannie dobranym kostiumie, perfekcyjnie ułożonej fryzurze i pod woalką makijażu wkraczała na paryską scenę, na której była już gwiazdą. Dystygowana, spokojna, kontrolująca każdy wystudiowany gest, spowita tajemnicą młodzieńczych

lat spędzonych w Rosji i Polsce fascynowała i wzbudzała podziw” – czytamy na wystawie.

Martwa natura, portrety i malarstwo figuralne, postać ludzka i cielesność są tym, co wyróżnia twórczość artystki. Inspirowała się ona motywami malarstwa holenderskiego, lecz przede wszystkim zachwycała ją malarstwo włoskie. „Kiedy tylko matka sprzedawała jakiś obraz, od razu wydawała pieniądze na podróż do Włoch” – wspomina Kizette. Taka właśnie była... szalona, niezależna, ambitna, a przy tym kobieca i kokieteryjna. Ciężką pracą, uporem i determinacją spełniała swoje największe marzenia. Stała się jedną z najbardziej cenionych malarek na świecie, choć jej droga nie była łatwa. Sielskie życie w Rosji zmuszona była zamienić na życie w obcym kraju w warunkach ubóstwa. Stała się uchodźczynią. „Czy jestem damą?” – pytała swojego przyjaciela, włoskiego architekta Gina Puglisiego. „Nie! Jestem nieszczęśliwą istotą, udreconą, bez ojczyzny, bez korzeni, zawsze samotną”.

Kłopotów przysparzał jej również mąż, który nie rozumiał jej artystycznych poczynań ani bujnego nocnego życia. Zarzucał jej brak zaangażowania w sprawy domowe. W końcu wdał się w romans i odszedł od artystki, co było dla niej olbrzymim ciosem. Przetrawiała wiele, ale nigdy nie zwątpiła w siebie i swoją

miłość do sztuki. To zaprowadziło ją na sam szczyt. I choć koniec życia artystki nie był łaskawy, to dzieła te zaczęły o sobie przypominać po jej śmierci. Nierozumiana i traktowana krytycznie pod koniec lat 70. XX wieku sztuka dziś ceniona jest na całym świecie, a Łempicka sama stała się legendą – kobietą, której, zdaje się, potrzebowałby i współczesny świat. Zmarła 18 marca 1980 roku. Prochy artystki, zgodnie z jej wolą, Contreras rozsyłał ze śmigłowca nad aktywnym wulkanem Popocatepetl.

O wystawie

„Tamara Łempicka – kobieta w podróży” to pierwsza tak obszerna wystawa dzieł Tamary Łempickiej w Polsce. Przygotowana została przez Muzeum Narodowe w Lublinie we współpracy z Villą La Fleur w Konstancinie. Na wystawie prezentowanych jest 60 obrazów, które pozyskane zostały z muzeów polskich, siedmiu muzeów francuskich oraz prywatnych kolekcji. Prócz dzieł malarzkich ekspozycja obejmuje przedmioty codziennego użytku, takie jak kapełuszki, okulary, obrazy w ramach, maszyny oraz meble i porcelanowe serwisy.

Początek XX wieku to nowa era w tworzeniu wnętrza, dekoracji i przedmiotów codziennego użytku. Zmiany te przyniosły nowe kierunki w malarstwie – kubizm, futurizm i ekspresjonizm. I właśnie te nasączone kolorem przedmioty o niezwykłej sile ekspresyjności podziwiać możemy na wystawie. Są one jednak dodatkiem, bo najważniejsze dzieje się na ścianach wystawy. W ciemnej scenarii, starannie oświetlone wiszą najświetniejsze prace artystki. Podziwiać możemy między innymi takie dzieła jak: „Młoda dziewczyna w zielonej sukience” (lata 1927-1930), „Saint-Moritz” (1929), „Kobieta w niebieskiej sukience” (ok. 1933), „Autoportret w zielonym bugatti” (1929). Jest też „Portret Tadeusza Łempickiego” (1928), przedstawiający jej byłego już męża, którego artystka nie domalowała ręki, co podkreślać miało negatywne emocje z nim związane.

Na wystawie znalazły się też „Kizette na balkonie” (1927) – obraz, za który Łempicka otrzymała grand prix na wystawie Exposition Internationale des Beaux-Arts w Bordeaux – i „Matka przełożona” (1935), dzieło, które dla artystki było jednym z ważniejszych. Jest ono wspomnieniem przeżycia z 1953 roku. Wtedy udręczona życiem Łempicka wyjechała do Włoch, gdzie wstąpiła do zakonu. Dzięki spotkaniu z matką przełożoną odnalazła siebie na nowo. To smutna i nieszczęśliwa twarz kobiety sprawiła, że artystka chciała ją na zawsze zapamiętać na płótnie. Potem żądała za obraz niewyobrażalnej kwoty, jednak nikt nie sprostał jej oczekiwaniom, więc ostatecznie przekazała go Muzeum Sztuk Pięknych w Nantes.

Wspomnieć należy też obrazy, których przekaz dotyczy tak aktualnych treści – choć chciałoby się, by były one odle-

głe i nigdy nie miały powrotu. „Uchodźcy” (1931) i „Ucieczka albo Gdzieś w Europie” (1940) rażą smutkiem i niepokojem. Karmią emocjami znanymi z naszego codziennego życia, które od kilku tygodni jest nimi przesiąknięte.

Przed wejściem na wystawę znajduje się grafika „Wiosna” powstała na podstawie obrazu Tamary Łempickiej o tym samym tytule dzięki współpracy jej córki Kizette i Drity Kessler, dyrektor generalnej DK Art Publishing. Grafika została przekazana na aukcję charytatywną, z której całkowity dochód zostanie przekazany Stowarzyszeniu Homo Faber – lubelskiej organizacji zajmującej się pomocą osobom uciekającym przed wojną na Ukrainie. Aukcja rozpoczęła się 18 marca i potrwa do 30 czerwca 2022 roku.

Zachęcam do zobaczenia tej niesamowitej wystawy. Polecam również skorzystać z wydarzeń jej towarzyszących. Muzeum Narodowe w Lublinie przygotowało wspaniałe wykłady, pokazy filmów,

Tamara Łempicka sielskie życie w Rosji

zmuszona była zamienić na życie
w obcym kraju w warunkach ubóstwa.

Stała się uchodźczynią. Jej droga
nie była łatwa, jednak ciężką pracą,
uporem i determinacją spełniała swoje
największe marzenia i stała się
jedną z najbardziej cenionych
malarek na świecie.

warsztaty. Przede wszystkim warto jednak skorzystać z oprowadzania kuratorskiego. Wszystkie informacje dostępne są na stronie: zamek-lublin.pl.

Święto książki

Przeżycie tej wystawy zrodziło we mnie wiele myśli, wyobrażeń i odczuć. W pamięci odżyły zdania, których treść odnieść można do opisu obecnej rzeczywistości. Opisują ją one w taki sposób, że trudno powstrzymać łzy. Chodzi mi o wiersz Stanisława Barańczaka „Jeżeli porcelana, to wyłącznie taka”. Teraz myślę o nim szczególnie, kiedy w głowie wirują obrazy ludzi zostawiających całe swoje życie. Ludzi pakujących swoją przyszłość w jedną walizkę. „Jeżeli odzież, to tyle, ile można unieść w walizce / jeżeli książki, to te, które można unieść w pamięci / jeżeli plany, to takie, by można o nich zapomnieć / kiedy nadejdzie czas następnej przeprowadzki / na inną ulicę, kontynent, etap dziejowy / lub świat” – pisze Barańczak.

W swoim lutowym artykule pisałam o spojrzeniu pełnym czułości, którym do

lat obdarowuję książki. Były to dla mnie ważne przemyślenia, ukazujące ogromną rolę książek w moim życiu. Dziś, po lekturze Barańczaka, myślę o tych, które „unieść można w pamięci”. Trochę ich jest. Myślę też o tych książkach, które podczas wojny ustawił w swoim mieszkaniu w Kijowie aktywista miejski Lew Szewczenko. Postawił je przy oknie, by podczas rosyjskiego bombardowania szkło nie wleciało do pokoju. Zdjęcie stało się wiralem. Jest niezwykle ujmujące i ukazuje nam kolejną funkcję książek – obronną.

23 kwietnia obchodzimy Światowy Dzień Książki i Praw Autorskich. Docenimy to, że nasze książki trzymać możemy w dłoniach, a nie przy oknach naszych pokoi, i spędzmy ten kwietniowy dzień z ulubioną literaturą przy kawie, herbacie czy winie. Czytajmy książki, bo – jak napisał Carlos Ruiz Zafón – „czytać to żyć intensywniej”. Ja polecam trzy pozycje, z którymi sama spędzę kwiecień. Pierwsza to „Planeta Piółun” Oksany Zabużko, ukraińskiej poetki, pisarki i eseistki. Jest to zbiór esejów, w których autorka demaskuje bolączki współczesnego świata. Potrzebowaliśmy takiej książki, by zrozumieć w jakim kierunku zmierzają nasza kultura. I gdzie w tym wszystkim jesteśmy my, zwykli ludzie, którzy urządzili się w świecie pełnym baniek informacyjnych. Zrozumienie tych tekstów wymaga zaangażowania intelektualnego, ale satysfakcja z czytania tak głębokich przemyśleń autorki jest niesamowita.

Druża książka to „Narodziny pigułki” Jonathana Eiga – amerykańskiego dziennikarza i pisarza, który otrzymał za nią nagrodę dla najlepszej książki roku przyznawaną przez „The Washington Post”. Najlepszą recenzją jest cytat Agnieszki Graff, który znajduje się na okładce mojego egzemplarza: „Barwnie napisana historia wynalazku, który na zawsze zmienił los kobiet, uwalniając nas od nieuchronności macierzyństwa. Ta książka sprawi, że poczujecie wdzięczność i sympatię dla grupki odważnych ekscentryków, którzy podjęli się tego wyzwania. Pozwoli też zrozumieć, dlaczego antykoncepcja hormonalna do dziś budzi taką wrogość tradycjonalistów. Pigułka to kobieca wolność i niezależność; pigułka to prawo do przyjemności”.

Trzecia książka, której jeszcze nie przeżyłam, ale przeczytałam kilkanaście cytatów w niej zawartych na stronach internetowych, jest autorstwa Swietłany Aleksjewicz, białoruskiej pisarki i noblistki, o tytule, który dziś odżył raz jeszcze. „Wojna nie ma w sobie nic z kobiecy” to reportaż opublikowany w 1985 roku, składający się z wywiadów z kobietami, które przeżyły II wojnę światową. Ta książka mówi o nas, kobietach, więcej niż jakakolwiek inna. Przeżycia opisywane przez bohaterki są niezwykle emocjonalne. Ukazują różne historie, które tylko potwierdzają to, jak silne i wspaniałe są kobiety. Uświadamiają, ile w nas jest uporu i niezłomności, którymi od lat budujemy ten świat.

TEKST: OKTAWIA WRZESIEŃ
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK

Miasta Ukrainy w Warszawie

Ostatnie tygodnie, tak trudne dla
naszych wschodnich sąsiadów, są także
czasem, gdy więcej się mówi i pisze
o kulturze Ukrainy. Korzystając z tej
okazji, możemy poszukać ukraińskich
motywów w warszawskiej onomastyce.

Oczywiście swoją ulicę w Warszawie posiada stolica Ukrainy – Kijów. Ulica Kijowska nazwana została tak w 1915 roku i ciągnie się wzdłuż stacji kolejowej Warszawa Wschodnia. Pierwotnie, jeszcze w XIX wieku, była wytyczona jako droga dojazdowa do Dworca Terespolskiego. Charków, który jest drugim najludniejszym miastem Ukrainy, swojego miejsca nie posiada, ale za to trzecie – Odesa – ulicę swoją ma. Znajduje się ona w Wawrze (oficjalnie od 1960 roku) i jest jedną z ulic dochodzących do Patriotów oraz torów kolejowych prowadzących do wspomnianej już Warszawy Wschodniej. Okoliczne nazwy są dość przypadkowe. I tak przecina ona ulice Mrówczą i Rogatkową, natomiast jest równoległa do ulicy Gruszy.

Na szczęście na mapie Warszawy jest miejsce związane z Ukrainą, gdzie ład nazewniczy jest większy. Będąc bowiem przy Odessie, co warto wspomnieć – największym ukraińskim porcie nad Morzem Czarnym, trzeba napisać o osiedlu Stegny na Mokotowie, którego klucz nazewnicy związany jest tym właśnie akwenem i którego osią jest ulica Czarnomorska (nazwy nadane w 1971 roku). Na Stegnach znajdziemy zatem ulicę Krymską, a także Sewastopolską i Jałtańską (oba miasta leżą na Krymie). Poza Krymem leży natomiast Białogród nad Dniestrem, który do połowy XX wieku nosił historyczną nazwę Akerman (co oznacza „biała twierdza”), i właśnie od tej nazwy wywodzi się ulica Akermańska. Nadanie ulicy historycznej nazwy zapewne było podyktowane jej obecnością w twórczości jednego z naszych narodowych wieszczów. Akerman stał się u nas sławny za sprawą „Sonetów krymskich” Adama Mickiewicza, szczególnie pierwszego z nich, zatytułowanego „Stepy akermańskie”.

Dla historii Polski niewątpliwie ważnym miastem był Lwów, który obecnie jest dopiero siódmym ukraińskim miastem pod względem populacji. Ulica Lwowska leży jednak najbliżej centrum Warszawy, a co więcej – był moment, gdy w Warszawie były trzy ulice Lwowskie. Najstarsza oczywiście w Śródmieściu, odchodząca na północ od placu Politechniki. Przed rokiem 1922 była częścią ulicy Wielkiej (już nieistniejącej), nazwę Lwowska otrzymała w ramach polityki scalania ziem byłych zaborów. Po II wojnie światowej, gdy do miasta stołecznego zostały włączone obszary wsi Okęcie (dzisiejsza dzielnica Włochy) oraz wsi Wilanów, doszły kolejne dwie ulice Lwowskie. Oczywiście następnym powtarzającej się nazwy była konieczność zmiany dwóch z nich i tak Rada Narodowa m.st. Warszawy 30 kwietnia 1954 roku uchwaliła, że we Włochach mamy dzisiaj ulicę Malowniczą (prostokątna do alei Krakowskiej), natomiast w Wilanowie pojawiła się ulica Henryka Rodakowskiego, malarza urodzonego we Lwowie w XIX wieku. Na skutek rozwoju przestrzennego Wilanowa ulica Rodakowskiego zniknęła z tej dzielnicy, ale za to wróciła w 1978 roku na plan miasta wraz z przyłączeniem do Warszawy Ursusa, w którym Henryk Rodakowski zastąpił „dublującego się” Jana Matejkę.

Gdy myślę o mieszkańcach ukraińskich miast, którzy uciekając przed wojną, dotarli do Warszawy, wracam do ostatniej strofy „Stepów akermańskich”, w której znajdujemy tęsknotę za ojczyzną: „W takiej ciszy – tak ucho natężam ciekawie, / Ze słyszałbym głos z Litwy – Jedźmy, nikt nie woła”. Adam Mickiewicz też był uchodźcą. Miejmy nadzieję, że krzyk znad Dniestru w końcu położy kres wojnie, a wtedy potrzeba odbudowy kraju przyciągnie wszystkich tych, którzy musieli uciekać.

MICHAŁ CHILIŃSKI



Konstytucja to kręgosłup państwa

25. rocznica uchwalenia Konstytucji RP skłania do wielu przemyśleń na temat funkcjonowania państwa i społeczeństwa. Oddaję dziś w Wasze ręce rozmowę z naukowcem, któremu zawdzięczam obudzenie we mnie pasji do badań nad polskim ustrojem politycznym: dr. hab. Tomaszem Słomką, pracownikiem Katedry Systemów Politycznych UW, specjalizującym się w zagadnieniach polskiego konstytucjonalizmu i systemu politycznego.

Panie Profesorze, oboje dobrze wiemy, że nie będzie to klasyczny wywiad, chociaż początkowo przyjęliśmy taką konwencję. Chciałabym poruszyć nasz ulubiony temat – Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej – ponieważ 2 kwietnia będziemy obchodzili 25. rocznicę jej uchwalenia. Zanim jednak przejdziemy do refleksji nad najważniejszym aktem prawnym obowiązującym w Polsce, zacznijmy od odpowiedzi na pytanie, dlaczego władze państw decydują się na uchwalanie konstytucji. Co musi się wydarzyć, aby rozpoczął się proces pisania ustawy zasadniczej?

Z przyjemnością podejmuję tę inicjatywę, bo nigdy dość rozmów o konstytucji, która jest przecież – jak się nam to pewnie wszystkim ujawni w tej rozmowie – aktem nie tylko prawnym, ale też bardzo istotnym elementem tkanki społecznej, kulturowej, tożsamościowej.

Trudno sobie wyobrazić współczesne państwa bez konstytucji. Co prawda Brytyjczycy wciąż trzymają się zasady, że konstytucją mogą być różnorakie źródła o ustrojowej wartości, ale w zdecydowanej większości państw myśli się o niej jako elemencie, który podtrzymuje całą strukturę państwa i społeczeństwa, a także strukturę normatywną. Do tego najlepiej nadaje się konstytucja – jako rodzaj kotwicy, fundamentu, kręgosłupa państwa. Pierwsze stwierdzenie brzmi być może zatem nieco trywialnie: konstytucje są, bo potrzebujemy podstawy funkcjonowania państwa.

Jednakże w tym pytaniu wyczułem jeszcze ciekawszy aspekt, czyli to, kiedy mogą się pojawiać nowe konstytucje. Potrzebujemy momentu konstytucyjnego, czyli takiego czasu, w którym wyczerpały się możliwości funkcyj-

nowania dotychczasowego ładu ustrojowego. Coś się stało: rewolucja, zmiana systemowa, bardzo głęboka zmiana społeczno-polityczna. Dotychczasowa konstytucja nie odpowiada na wyzwania nowych czasów, nie reprezentuje już właściwie żadnych wartości i porządku, który się zmienia. Wtedy pojawia się moment konstytucyjny – potrzeba stworzenia zupełnie nowego aktu prawnego. Czasami może być to oczywiście zmiana w postaci rewizji, nowelizacji obowiązującej konstytucji – zazwyczaj bardzo głębokiej.

Cieszę się, że wspomina Pan o tym, że konstytucja podtrzymuje tkankę społeczną i państwową. Wiele osób raczej kojarzy ten akt z typowym tekstem prawnym, w którym mamy normy prawne, obowiązki, prawa i wolności, a zdecydowanie rzadziej mówi się o tym, co umacnia ustawę zasadniczą, a mianowicie o różnych wartościach konstytucyjnych. Czy mógłby Pan powiedzieć, jakie znaczenie dla samego społeczeństwa mają wartości konstytucyjne?

Państwo, jego system i konstytucja to coś w rodzaju żywego organizmu. Na pierwszy rzut oka ustawa zasadnicza jest po prostu aktem prawnym: szczególnym, najwyższym, decydującym o wszystkich innych źródłach prawa, ale jednak tylko aktem. To w rzeczywistości jedynie wierzchołek góry lodowej.„

Zauważmy, że w demokratycznych państwach prawnych – bo w tych autorytarnych i totalitarnych konstytucje służą zupełnie innym celom – ustrojodawcy zazwyczaj bardzo się starają, żeby

ustawa zasadnicza była oparta na powszechnie uznawanych tradycjach, wartościach, elementach tożsamościowych, doświadczeniach historycznych. Po co? Po to, aby każdy z członków społeczeństwa odnajdował w ustawie zasadniczej jakąś część swojego życia, swoich zasad, aby konstytucja była mu po prostu bliska i aby nie było pokusy przeciwstawiania się jej. Oczywiście nie ma idealnych rozwiązań, w których konstytucja zawierałaby stuprocentowo to, czego każdy członek społeczeństwa by oczekiwał, albo też – ujmując to inaczej – nie zawierała jakiejś kwestii kontrowersyjnej dla konkretnych grup.

Jednak przyzna Pan, że znamienne jest to, że obchodzimy rocznicę uchwalenia konstytucji, a tak naprawdę samo uchwalenie ustawy zasadniczej to właściwie jeden z ostatnich etapów prac. Czy mógłby pan przybliżyć nieco sam proces, który doprowadził do uchwalenia Konstytucji RP?

Jeżeli adresaci norm konstytucyjnych nie chcą ich wypełniać jak należy, to nawet najlepsza konstytucja nie da sobie rady. Potrzebujemy dobrej woli realizacji konstytucji, odpowiednio wysokiej kultury prawnej i politycznej.

Konstytucja to szczególnie akt prawny i myślę, że polskie doświadczenia z 1997 r. są tego bardzo dobrym dowodem. Po pierwszej Konstytucji RP została przyjęta przez Zgromadzenie Narodowe, czyli parlament, skupiający w tym przypadku dwie, równorzędne potraktowane izby, a więc już sam ten fakt mówi nam dużo o legitymizacji, bo przedstawiciele narodu, wybrani w wolnych i demokratycznych wyborach, decydowali o kształcie tej ustawy.

Po jej uchwaleniu pojawiła się instytucja referendum konstytucyjnego – to drugi etap i bardzo ciekawy przypadek referendum w polskich warunkach, bo bez prognozy frekwencji. W tak ważnym momencie nie można było dopuścić do tego, aby cały proces przyjmowania nowej ustawy zasadniczej został stordetowany przez bojkot. To referendum, nomen omen jedyne w historii III RP, które na poziomie krajowym było obligatoryjne, decydowało, czy w ogóle ustawa zasadnicza może wejść w życie.

Trzecim etapem było trzymiesięczne vacatio legis – przygotowanie do wdrożenia nowych przepisów. Długie, lecz bardzo istotne – zważywszy na rangę Konstytucji. 17 października ustawa zasadnicza weszła w życie. To był długi proces, ale obfitujący w odniesienia do woli społeczeństwa, woli narodu.

W 1994 r. przyjęto ciekawą regulację, która pozwalała na organizowanie częściowych referendów. Wiązało się to z pytaniem społeczeństwa o pewne rozwiązania jeszcze przed uchwaleniem Konstytucji RP. Otwierało to drogę inicjatywom obywatelskim, ponieważ 500 tys. obywateli mogło złożyć projekt przy-



szłej ustawy zasadniczej. Wpłynął jeden taki projekt, przygotowany pod auspicjami NSZZ „Solidarność”. Poza tym podczas prac Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego sięgnięto do projektów złożonych we wcześniejszych kadencjach – tak aby wszystkie siły polityczne, które na skutek nieobecności w parlamencie w danej kadencji mogłyby poczuć się pokrzywdzone czy odsunięte od tego procesu, były doznione i aby wkład tych ugrupowań został zaznaczony.

Uważam, że, z punktu widzenia potrzeb legitymizacyjnych otworzyliśmy w Polsce drzwi niezwykle szeroko, dopuszczając najprzeróżniejsze formy wpływu różnych grup społecznych i politycznych, a w końcu i całego narodu, na porządek konstytucyjny.

Jaka atmosfera towarzyszyła pracom nad nową polską konstytucją? Czy dało się w odczuć, że to szczególnie w dziejach Polski moment?

Wszyscy byli we wzniosłych nastrojach, ale proces przyjmowania Konstytucji RP, szczególnie na ostatnim etapie – uchwalenia, referendum konstytucyjnego i kampanii poprzedzającej, to czas bardzo głębokich podziałów, ostrej i często niemerytorycznej debaty toczonej się wokół konstytucji.

Wpływało na to wiele elementów. Po pierwsze niektórzy uważali, że skoro ustawę zasadniczą uchwała parlament zdominowany przez ugrupowania centrolewicowe, to sytuuje ją to w gronie konstytucji lewicowych, a to nieprawda, gdyż Konstytucja RP jest – tak jak zaznaczyłem wcześniej – napisana w ten sposób, aby możliwie najwięcej wiele grup zobaczyło w niej „swoją” akt i zespoliło go ze swoją tożsamością. Poza tym skład parlamentu był wynikiem demokratycznych wyborów, większość uzyskała zatem legitymację wypływającą z woli narodu.

Po drugie na proces prac nad ustawą zasadniczą niekorzystnie nałożyły się zbliżająca kampania parlamentarna i wybory w 1997 r. Wiele ugrupowań uczyniło Konstytucję RP przedmiotem swojego działania politycznego. Szczególną brutalnością odznaczała się kampania przed referendum konstytucyjnym. Przeciwnicy Konstytucji RP zarzucali jej np., że wprowadzi dyktaturę, że – cytuję – „będzie powodowała zabijanie dzieci i starców”, że przez nią Polska straci niepodległość i suwerenność, że jest ona oderwana od polskiej tożsamości i tradycji. Odniosłem wtedy wrażenie, że mam przed oczami zupełnie inny akt. Widziałem preambułę o treści wręcz obfitującej w odwołania do polskiej tożsamości i tradycji, a ktoś mi wmawiał, że to jest coś zupełnie obcego i narzuconego.

I jeszcze – jeżeli Pani pozwoli – małe postscriptum do tego, co powiedziałem. Minęło 25

Ustawa zasadnicza ma być granicą działania władzy. Ma mówić jej, co robić można, a co jest wykluczone, gdzie władza może realizować swoje prerogatywy, a gdzie jest sfera zastrzeżona dla człowieka, jego życia i prywatności.

lat. Przez 25 lat żyliśmy w pewnym doświadczeniu, w warunkach tej konstytucji. Okazało się, że ona nie przyniosła ani żadnej tragedii, ani załamania systemu politycznego, wręcz przeciwnie. Będę twardo stawał po stronie tych, którzy mówią, że w sytuacjach tak krytycznych jak np. katastrofa smoleńska w 2010 r. państwo nie straciło sterowności, mogło funkcjonować, uruchomiły się wszystkie niezbędne zapasowe mechanizmy i procedury. Nie mam wątpliwości, że stało się to także na skutek konstruktywnych działań polityków, ale może nade wszystko dzięki temu, że konstytucja przygotowała nas na różnego rodzaju scenariusze.

Myszę, że warto wspomnieć o symbolicznym i całkiem dla mnie miłym geście z okresu uchwalania ustawy zasadniczej, ponieważ sama do dzisiaj mam egzemplarz Konstytucji RP, który Aleksander Kwaśniewski wysyłał Polakom do domów. Wcześniej był on przewodniczącym Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, później szczególnie aktywnym prezydentem RP. Widzę, jak mu zależało na tej konstytucji i jak bardzo się cieszył z jej uchwalenia. Traktował ją dosłownie jak swoje dziecko.

Aleksander Kwaśniewski do tej pory bardzo lubi tę myśl, że jest ojcem naszej konstytucji. Cóż może być dla polityka piękniejszego niż uchodzić za tego, który przyczynił się do wprowadzenia tak fundamentalnego i tak – powiedzmy wprost – dobrego aktu, sprawdzającego się w różnych sytuacjach? Dlatego ja się prezydentowi Kwaśniewskiemu wcale nie dziwię.

W 1995 r. prof. Ewa Łętowska opublikowała książkę, w której – zgodnie z tytułem – zastanawiała się, po co ludziom konstytucja. Oboje bardzo dobrze wiemy, jako osoby specjalizujące się w polskim prawie konstytucyjnym, że w przypadku państwa

i człowieka mamy dużą nierównorzędną podmiotów, ponieważ państwo występuje z całym aparatem siły i przymusu wobec jednostki, która – gdyby nie konstytucja – nie miałaby właściwie żadnych środków ochrony i obrony przed tą nierównorzędną. Co takiego daje nam ustawa zasadnicza, że możemy ją nazywać fundamentem praw i wolności człowieka?

To jest akt, który w sposób zasadniczy i fundamentalny buduje katalog praw i wolności człowieka i obywatela. Oczywiście trzeba od razu dodać, że nie wystarczy napisać długi katalog tych praw i wolności, bo znamy takie systemy, np. zbudowany przez konstytucję radziecką z 1936 r., w których prawa i wolności były tylko na papierze, w warunkach państwa totalitarnego nie miały żadnego realnego skutku. Ten katalog musi być obudowany środkami ochrony.

W polskiej konstytucji mamy m.in. sądy stojące na straży praw i wolności, ombudsmana, a właściwie ombudsmanship, bo od 2000 r. funkcjonuje w Polsce – przyznam, że trochę nieudana – instytucja Rzecznika Praw Dziecka, mamy w końcu bardzo ważny element, jakim jest skarga konstytucyjna, którą można złożyć do Trybunału Konstytucyjnego (pod warunkiem jego właściwego funkcjonowania, zgodnego z przeznaczeniem i umocowaniem konstytucyjnym). Aczkolwiek, uprzedzając krytykę, która mogłaby się pojawić, podkreślam raz jeszcze, że konstytucja może być napisana świetnie, zawierać wszystkie niezbędne elementy i być wyposażona w cały arsenał środków, które służą człowiekowi, ale jeżeli nie ma dobrej woli jej realizacji, jeżeli adresaci norm nie chcą ich wypełniać jak należy, to, prawdę mówiąc, nawet najlepsza konstytucja nie da sobie rady. Potrzebujemy dobrej woli realizacji konstytucji, odpowiednio wysokiej kultury prawnej i kultury politycznej.

Ustawa zasadnicza ma być granicą działania władzy. Ma mówić jej, co robić można, a co jest wykluczone, gdzie władza może realizować swoje prerogatywy, a gdzie jest sfera zastrzeżona dla człowieka, jego życia i prywatności. Wszystko w duchu godności ludzkiej, bo to najważniejszy punkt odniesienia.

Z okazji 20. rocznicy uchwalenia Konstytucji RP CBOS opublikował raport z badań, w którym możemy przeczytać, że rośnie odsetek osób twierdzących, że zasady i wartości zawarte w ustawie zasadniczej mają istotny wpływ na życie obywateli. Jest on najwyższy wśród najmłodszej grupy badanych oraz wśród osób, które deklarują, że przynajmniej raz przeczytały naszą konstytucję. Mamy tu zatem wyraźne powiązanie akceptacji ze świadomością

treści tego aktu oraz wynikających z niego praw. Jak powinniśmy edukować w zakresie obywatelskości, aby ta edukacja miała sens i przynosiła efekty?

Edukacja to w istocie podstawa wszystkiego, a jednocześnie jedna z najtrudniejszych rzeczy, które można sobie wyobrazić. Jak edukować w zakresie tak mało atrakcyjnym dla przeciętnego człowieka? To nie jest kultura, sport czy rozrywka. Kojarzy się raczej z czymś nudnym, normatywnym, nieprzystępnym.

Myszę – w dużym uproszczeniu – że pierwszą cechą takiej edukacji powinna być jej wielowymiarowość. To znaczy, że powinna ona zachodzić na poziomie działań organizacji pozarządowych najróżniejszego rodzaju i najróżniejszych szczeblach – od lokalnego po ogólnokrajowy.

Po drugie powinna być to jakaś część funkcjonowania samorządów terytorialnych. Dobrze byłoby, gdyby odwoływały się one do takich konstytucyjnych zasad jak decentralizacja, do tego, co może dać obywatelom samorząd. By nie było tak, że rząd w Warszawie decyduje o każdej najmniejszej kwestii, która w tych wspólnotach lokalnych się pojawia.

Następny element to szkoły i uczelnie. Z pewną goryczą muszę przyznać, że od dłuższego czasu w szkołach widać sporo zaniedbań w zakresie wiedzy o społeczeństwie. Nie chcę tutaj jednak krzywdzić wszystkich nauczycieli, ponieważ znam wielu świetnych, którzy ze swoim wykładem potrafią trafić do uczniów i studentów.

Trzeba w końcu pamiętać, że nie ma edukacji konstytucyjnej bez mądrych mediów, które stawiają nie tylko na ludyczną rozrywkę.

Czy to nie jest tak, że państwo w ogóle nie powinno zajmować się sferą edukacji? Może się wydawać, że doświadczamy tutaj pewnej rozbieżności interesów. Jakby to brutalnie nie brzmiało, władza niekoniecznie chce mieć świadomych obywateli, ponieważ świadomy obywatel będzie protestował, pisał petycje, dobijał się...

Oczywiście przy założeniu, że władza ma pokusy autorytarne, bo jeżeli mówimy o stanie idealnym, jakim jest władza rozumiejąca zasady demokratycznego państwa prawnego, to właśnie wręcz przeciwnie, bo wychowuje ona w ten sposób świetnego obywatela, który jest odpowiedzialnym partnerem w rozwiązywaniu kwestii publicznych. To ogromny atut dla władzy świadomej znaczenia demokracji i praworządności. Niestety rzeczywistość, w której obecnie żyjemy, raczej skłania władzę do rozwiązań autorytarnych niż rozszerzania bazy demokratycznego państwa.

ROZMAWIAŁA: ANNA SUSKA
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK

Co dzieci wiedzą, a co chcą wiedzieć o wojnie na Ukrainie



W czwartkowe popołudnia spotykamy się w szkolnej salce przy herbacie i dyskutujemy. Kto? Grupa dzieci, które chcą rozmawiać – są gotowe słuchać i dzielić się swoimi spostrzeżeniami. Z zasady nie planujemy tematów, które będziemy poruszać. Wyłaniają się one w trakcie spotkania i wynikają z bieżących potrzeb, chociaż zdarza nam się również przygotowywać do jakiejś debaty z wyprzedzeniem. Robimy to, gdy mamy poczucie, że potrzebujemy informacji, które umożliwią nam świadomą argumentację. W kawiarnianej atmosferze powstają pomysły na działania, ale jest to zarazem przestrzeń wspólnego spędzania czasu. Zdecydowaliśmy, że podzielimy się niektórymi z naszych dyskusji.

Zapraszamy na cykl artykułów „Dyskusje dzieci”.

Aleksandra: Jak zawsze zaczynamy spotkanie koła dyskusyjnego rozmową na wybrany, najbardziej nurtujący nas w danym momencie temat. Zgodnie z decyzją z poprzedniego spotkania będziemy dziś dyskutować na temat wojny w Ukrainie.

Judyta: Wczoraj była Środa Popielcowa i gdy byłem w kościele, ksiądz mówił na ogłoszeniach, że nasza parafia bierze udział w pomocy uchodźcom. Zachęcał, żebyśmy się do tego przyłączyli, np. przyjęli matkę z dziećmi na kilka miesięcy do naszego domu. Nie jesteśmy jeszcze na liście, ale jest już postanowione, że pomożemy. Siostra zamieszka u mnie w pokoju.

Aleksandra: To była też twoja decyzja, że te osoby mogą zamieszkać u was w domu?

Judyta: Ja się zgodziłam. Nie mam nic przeciwko temu. Tylko chcę być w swoim pokoju.

Ignacy: My już przyjęliśmy kilka osób. Ale po czasie widzę, że to bardzo trudne zadanie. Wymaga dużo pracy i czasu. Nasza rodzina zrobiła się dużo większa. Trzeba kupić rzeczy, przygotować jedzenie. Teraz nasze zakupy są dużo większe niż do tej pory. Dzisiaj tata pojechał po jeszcze jedną rodzinę, więc będzie jeszcze trudniej, ale cieszymy się, że możemy pomóc.

Karolina: Teraz wszystko się kręci wokół tematu wojny. Nawet z wyłączonym telewizorem nie da się od tego odciąć, bo wszyscy wszędzie o tym mówią.

Słodo: Ja na początku starałem się śledzić, co się dzieje, oglądałem wiadomości, wyszukiwałem nowe fakty, słuchałem radia. Nie chcę powiedzieć, że się tym znudziłem, bo nie o to chodzi. Po prostu jestem tym zmęczony. Miałem ostatnio taki dzień, że wróciłem

po meczu, byłem wykończony i już nie chciałem o tym słuchać. Cały czas wszystkie stacje mówią o tym samym. Oczywiście te informacje się różnią, zależnie od tego, co się w danym dniu dzieje, ale tematyka się nie zmienia.

Maks: No właśnie. Zupełnie nie skupiamy się na tym, co się dzieje w innych krajach, na innych kontynentach. Wszystko dotyczy rosyjskiej agresji. To bardzo przytłacza.

Zuzia: Ja czasami mam już dość, że w domu rodzice oglądają tylko to, co dzieje się na Ukrainie. A ja chciałabym odpocząć. Obejrzeć coś innego. Wiem, że to jest ważne, ale brakuje mi takiej normalnej codzienności.

Kalina: Czasami jest też tak, że rodzice nie chcą nam mówić szczegółów na temat tego, co się dzieje. Nie oglądają przy nas wiadomości, nie rozmawiają na ten temat. Pewnie dlatego, żeby nas chronić.

Ania: Zgadzałam się. Nie zawsze rodzice wszystko mówią i rozumiem to, ale jednak chciałabym wiedzieć, co się dzieje, żeby potem nie czuć się jak osoba oderwana od świata. Chciałabym usłyszeć wszystko. Dlatego dużo rozmawiam na ten temat z rodzicami.

Judyta: No właśnie, usłyszeć. Potrzebne są nam informacje na temat tego, co się dzieje, ale bez obrazów. Ewentualnie z takimi, które nie są straszne. Łatwiej sobie poradzić z tym, co sobie pomyślimy i na co pozwoli nam wyobraźnia.

Słodo: Dla mnie nie powinno być takich obrazów z wojny. Chodzi mi o takie dosłowne zdjęcia lub filmiki, jak na przykład ktoś strzela lub jak pali się miasto.

Weranda: U mnie jest tak, że rodzice mówią mi wszystko, ale mojej młodszej siostrze, która się boi, już nie.

Aleksandra: A jak myślicie, czy to jest związane z wrażliwością, z wiekiem? Z czego to wynika?

Weranda: Może trochę z wiekiem.

Ignacy: Ja czasami oglądam wiadomości z siostrą, ale też tylko kawałki. Ona jest młodsza i też się boi. Czasami nawet potem płacze, jak zasypia.

Zosia: Ja bym chciała wiedzieć, co się dzieje na Ukrainie i czy sytuacja się polepsza, czy pogarsza i czy coś nam zagraża.

Ignacy: Ja wiem, co się dzieje, ale nie wiem dlaczego. Każdy kraj odczuwa skutki tego, co robi Putin. Nie tylko Ukraina czy Polska.

Weronika: Tak. Ale jednocześnie odczuwa to też Rosja. Ludzie, którzy się sprzeciwiają Putinowi, trafiają do więzień. Ważne, by o tym też pamiętać.

Ignacy: Ja mam rosyjskie korzenie, mam rodzinę w Rosji i widzę, jakie to wszystko jest dla nich straszne.

Maks: Rosja bardzo na tym straci w oczach innych krajów. Już to widać. I nie tylko w spadku waluty – rubel jest teraz za trzy grosze – ale też po tym, jak ludzie bojkotują kupowanie rosyjskich produktów.

Pola: Mnie jest ich szkoda, bo to, co się dzieje, wywołuje nienawiść. A to, co robi Putin, to nie do końca ich wina. Konsekwencje będą jednak pewnie odczuwać do końca swoich dni.

Maks: Putin nie przestrzega żadnych zasad, nawet tych wojennych. Atakuje normalnych ludzi, cywilów. Inny problem to to, że do Polski dociera mnóstwo różnych informacji. Ciągłe słyszymy, jak inni ludzie o tym rozmawiają. Jest mnóstwo plotek.

Aleksandra: Użyłeś słowa „plotki”. Dlaczego?

Maks: Bo nigdy nie wiadomo, co jest prawdziwe, a co nie. Dlatego tak ważni są reporterzy, którzy są na miejscu. Niektóre informacje łatwo sprawdzić, ale jest też dużo takich, które są opowiadane w emocjach, ktoś coś dopowiedział, ktoś inny dodał coś od siebie, a jeszcze kolejna osoba coś pomyliła. My słyszymy właśnie takie zmienione informacje i nie wiemy, czy to prawda, czy nie.

Karolina: Ja też nie do końca wierzę temu, co pojawia się w telewizji, ale jak widzę tych ludzi, którzy siedzą w metrze, chowają się, żeby nie zostać skrzywdzonym, od razu wiem, że to nie jest kłamstwo.

Aleksandra: A co czujesz, widząc takie obrazy?

Karolina: Czuję zagrożenie. Wiem, że ci ludzie mogą zginąć i że jest to realny problem.

Ignacy: Ale też słuchanie o tym, jak Polacy pomagają, jest bardzo miłe i motywuje do działania i ogólnej wrażliwości.

Adam: Wiem, że ważne jest to, żebyśmy wiedzieli, co tak na prawdę się dzieje, i mieli na to dowody. Ale wystarczy, że widzimy mnóstwo osób, które muszą uciekać ze swojego kraju. Cieszę się, gdy widzę, że są bezpieczni, że ktoś im pomógł i mają schronienie. Uspokaja mnie to.

Maks: My, dzieci, patrzymy na to z kompletnie innej strony. Widzimy, co się dzieje, ale nie rozumiemy dlaczego.

Ania: Dlatego dobrym pomysłem byłoby stworzenie kanału z wiadomościami dla dzieci.

DYSKUSJA Z 3 MARCA 2022 R.

ROZMAWIAŁA:
ALEKSANDRA KRÓLAK-ZALEWSKA
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK



Kto we Lwowie karmił wszy?

Epidemia, wojna, Lwów – rok 2022? Poniższa opowieść o bohaterstwie sięga dużo wcześniej, ale z pewnością po raz kolejny utwierdza w przekonaniu, że w historii możemy upatrywać wielu analogii. Zacznijmy raz jeszcze – wojna, epidemia, Lwów – rok 1940. Polski naukowiec wynajduje szczepionkę, ratując miliony istnień przed chorobą, a tysiące pracowników Instytutu Lwowskiego przed nazistami. Podczas gdy Europa zmagą się z kolejnymi falami epidemii COVID-19, przypomnę Państwu postać Rudolfa Weigle’a – pogromcy tyfusu.

Rudolf Weigl urodził się w 1883 roku na Morawach, w dzisiejszej Republice Czeskiej, będącej wówczas częścią Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Jego rodzice – Polak i Austriaczka – zadbali o to, aby syn posługiwał się biegle zarówno językiem polskim, jak i niemieckim, ale kultura słowiańska okazała się mu bliższa. Naukowiec szybko pożegnał ojca, a jego matka wyszła ponownie za mąż za polskiego nauczyciela. W 1907 roku Weigl ukończył Wydział Biologii Uniwersytetu Lwowskiego i został asystentem wybitnego naukowca Józefa Nusbauma-Hilarowicza. Swój obszerny doktorat poświęcił naukom z pogranicza zoologii, anatomii porównawczej i histologii, a wcześniej podjęta praca naukowa przyniosła mu wielki prestiż wśród rówieśników.

W czasie I wojny światowej wstąpił do armii austriackiej i został oddelegowany do badań nad pasożytami, skąd był już o krok od zainteresowania się tyfusem – chorobą żołnierzy walczących w okopach.

Pamiętacie jeszcze bakterie?

Przyzwyczailiśmy się do tego, że jak epidemia, to wirusy. Tymczasem główny przeciwnik naszego bohatera – tyfus – jest chorobą bakteryjną.

Tyfus plamisty charakteryzuje się gorączką, bólem głowy i wyraźną wysypką. Przyczyną epidemii jest niewielka bakteria *Rickettsia prowazekii*, która rośnie w żywych komórkach, a następnie przenoszona jest przez wszy lub pchły.

Wybuchy epidemii tyfusu plamistego obserwowano głównie podczas wojen – napoleońskich oraz pierwszej i drugiej wojny światowej. Podczas rozprzestrzeniania się tyfusu w Europie w latach 30. Weigl zdecydował się przeprowadzić dość innowacyjne bada-

nia. Wiedział, że choroba przenoszona jest przez wszy lub pchły, stworzył więc hodowlę w swoim laboratorium. Przysłał szczepionkę opracowaną na bazie ich zmiażdżonych żołądków. W czasie badań sam zaraził się chorobą, ale wyzdrowiał i kontynuował swoje prace. W 1930 roku opracował metodę wytwarzania szczepionki, która sześć lat później została z powodzeniem podana pierwszemu beneficjentowi. Preparat wymagał jednak dopracowania, a dalsze prace przypadły na czas wojny.

Schindler nauki

Tyfus rozprzestrzenia się w populacjach wycieńczonych – wśród ludzi słabo odżywionych, brudnych i nieodzianych, więc w latach 40. ofiarami choroby łatwo stawali się między innymi żołnierze. W armii niemieckiej pojawiła się obawa, że tyfus stanowi zagrożenie dla powodzenia planów militarnych. Potrzebna więc była szczepionka.

W czasie II wojny światowej Weigl znajdował się we Lwowie, gdzie w Instytucie Biologii Ogólnej Uniwersytetu Lwowskiego opracował pierwszą na świecie skuteczną szczepionkę przeciwko gorączce plamistej, a także kontynuował badania nad tyfusem. Pozostał na czele swojego wydziału podczas sowieckiej okupacji i późniejszej inwazji hitlerowskiej. Zachował swoją pozycję przez całą II wojnę światową, chociaż odmówił poparcia dla nazistowskiej ideologii. Szczepionka produkowana w instytucie była jednak najskuteczniejszą z dostępnych, więc ciągłość prac Weigla była kluczowa. Weigl został zmuszony do współpracy z Niemcami w celu dostarczenia szczepionki wojskom Hitlera. Pilnował jednak swojej autonomii i zadbał o to, aby Niemcy nie ingerowali w badania. Miał wolną rękę w doborze pra-

cowników, w czym upatrzył szansę na uratowanie narażonych w obliczu wojny ludzi. Po masakrze lwowskich profesorów w lipcu 1941 r. zatrudnił wielu naukowców zagrożonych egzekucją lub wywiezieniem do obozów koncentracyjnych.

Legitymacje instytutu, podstemplowane przez niemieckie władze wojskowe, pozwalały na swobodę poruszania się bez obawy o zatrzymanie czy deportację. Ponadto agenci Gestapo sami unikali kontaktu z kimkolwiek, kto mógłby potencjalnie zarazić ich tyfusem. Weigl zaczął selektywnie zatrudniać do swoich eksperymentów członków ruchu oporu, intelektualistów i Żydów.

Stanowisko? Karmiciel wszy

Podczas opracowywania szczepionki Weigl wynalazł system, który pozwolił na hodowanie w jelitach wszy bakterii odpowiedzialnej za tyfus. Był to przełom – wcześniej eksperymenty prowadzono głównie na zwierzęta takich jak świnki morskie czy króliki. Nowatorska metoda polegała na wstrzyknięciu bakterii do odbytu wszy za pomocą małej igły. Ponieważ pasożyty te rozmnażały się szybko i łatwo, Weigl nie miał trudności ze stworzeniem całej „farmy”. Zagrodę trzeba było jednak odpowiednio utuczyć, a wszy karmiono... ludzką krwią.

Konieczne stało się zrekrutowanie ludzkich karmicieli, którym przyczepiano do nóg klatki wypełnione wszami. Tak oto do orszaku karmicieli trafili m.in. poeta Zbigniew Herbert, matematyk Stefan Banach, dyrygent i kompozytor Stanisław Skrowaczewski, pisarz Mirosław Żuławski, rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza Stanisław Kulczyński czy światowej sławy geograf Alfred Jahn. Szacuje się, że to niestandardowe zatrudnienie uratowało około pięć tysięcy naukowców, bojowni-

ków ruchu oporu i Żydów. Ponadto duża część wyprodukowanej już szczepionki zamiast trafić na front wschodni była potajemnie rozprowadzana wśród ludności cywilnej, partyzantów, a także w getcie warszawskim.

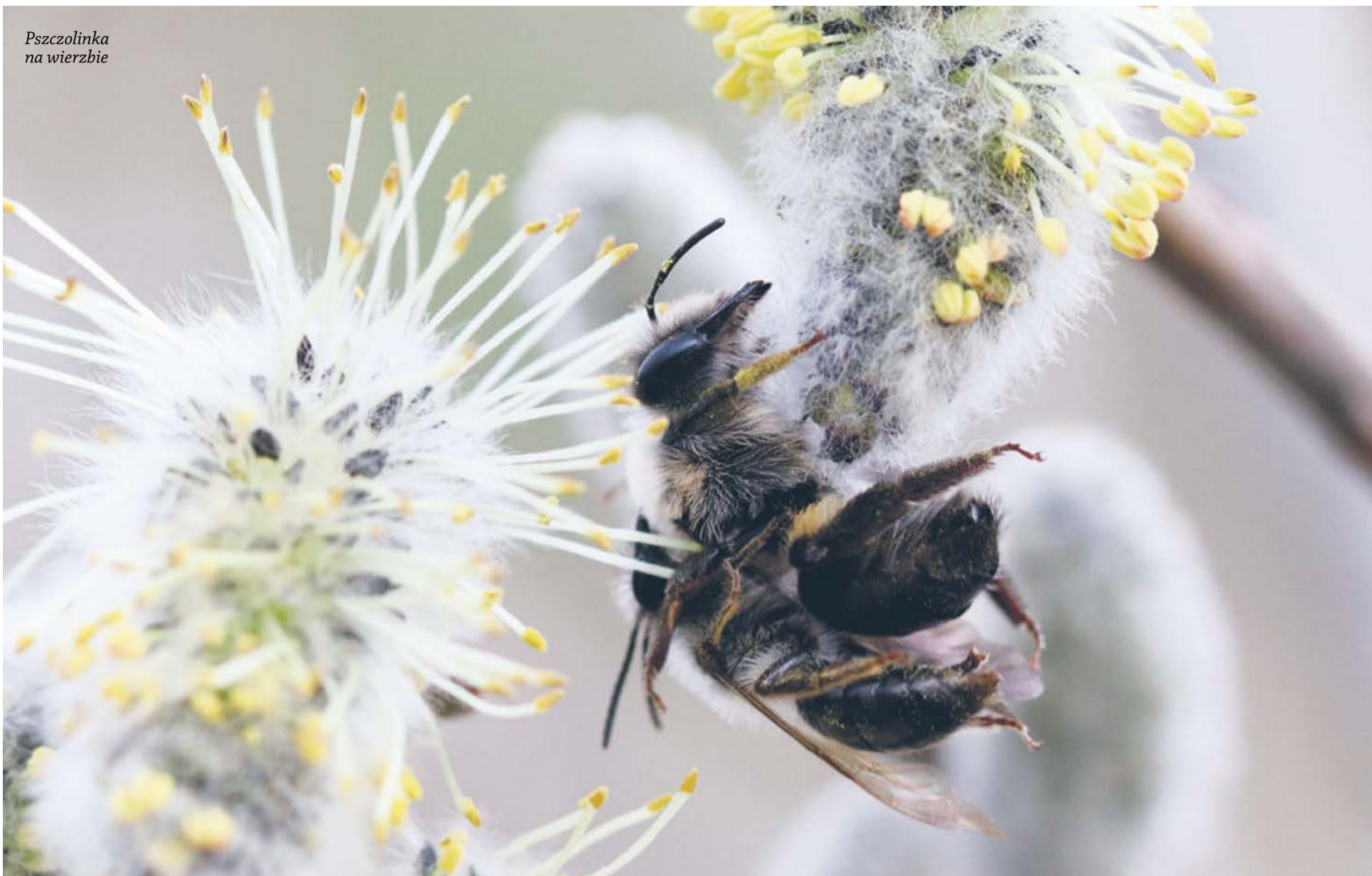
Blokada noblowska

Po wojnie Weigl przeniósł się do Krakowa, aby kontynuować badania na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie został mianowany kierownikiem Instytutu Mikrobiologii, a później pełnił funkcję kierownika katedry biologii na Uniwersytecie Poznańskim aż do przejścia na emeryturę w 1951 roku.

Był kilkakrotnie zgłaszany do nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny, ale w komunistycznej Polsce możliwość jej otrzymania została zablokowana przez grupę profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy oskarżyli go o kolaborację z Niemcami. W 2003 roku został uhonorowany tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata za pracę na rzecz ratowania Żydów. Zmarł w Zakopanem 11 sierpnia 1957 roku po udarze mózgu.

Szczepionka przeciwtyfusowa Weigla do czasu wynalezienia antybiotyków była jedyną skuteczną metodą walki z tyfusem plamistym. W latach 50. liczba przypadków tyfusu przenoszonego przez pchły zaczęła spadać, po części z powodu szeroko zakrojonych postępów w zakresie higieny. Ze względu na rzadkość występowania choroby w 1987 r. tyfus plamisty został wykreślony z listy chorób podlegających obowiązkowi zgłoszenia krajowego. Obecnie przypadki zachorowania występują jedynie lokalnie, głównie w populacjach, które cierpią z powodu przeludnienia.

**TEKST: MONIKA MIŁOŻ
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK**

Pszczolinka
na wierzbie

Fot. dziarczyplacz.pl

Kod DRNA

„Srbia!” – krzyczą serbscy piłkarze ręczni przed wejściem na boisko. Zawsze mi się to podobało. A gdyby żoliborzanie przed meczem frisbee na Stadionie RKS Marymont krzyczeli: „Drna!”, byłoby to równie wspaniałe. Drna to zaginiona warszawska rzeka, o której można się dowiedzieć na wystawie „Niech płyną! Inne rzeki Warszawy” w Muzeum Woli. Niektórzy nazywają Drną smętny kanalik w parku Fosa i Stoki Cytadeli w Warszawie, a fachowcy rozkładają ręce i wnosząc błagalne spojrzenia w błękitne niebo nad Żoliborzem, pytają: „Ile Drny jest w Drnie?”. Padają propozycje przywrócenia rzeki, a tymczasem nad kanalikiem obok Cytadeli przyroda kwitnie.

Drna miała źródło w okolicy dzisiejszego Dworca Zachodniego. Płynęła potem wąwozem nieopodal obecnej Okopowej przez Powązki i rozlewała się w dolinie na terenie Żoliborza. Wycinanie lasów, kopanie dołów pod ujęcia wody i stopniowe zamykanie rzeki w kanały osłabiło jej bieg. W 1794 roku miał nad nią stanąć kolejny młyn, ale nie było pewności, czy nurt będzie wystarczający, aby go napędzać. Powołano wtedy specjalną komisję, która miała zbadać niedobór wody w Drnie.

Teraz na szlaku dawnych fal Drny jedyną pozostałością jest kanał w parku Fosa i Stoki Cytadeli na Żoliborzu. Zarówno Tomasz Niewczas z Zarządu Zieleni m.st. Warszawy, jak i Monika Sysiak z Zakładu Hydrobiologii na Wydziale Biologii Uniwersytetu Warszawskiego stwierdzają, że nie wiadomo właściwie, ile Drny jest w Drnie. Nie ma pewności, skąd wzięła się woda stojąca w tym betonowym korycie. Tomasz Niewczas przypuszcza, że może być to po prostu przypadek czysto sentymentalnego nazewnictwa. Podobnie jak śladem po dawnych rzekach Warszawy są ulica Potocka i osiedle Marymont Ruda (po rzece Rudawce), ulica Źródłowa (po strumieniu Kamion spływającym ze skarpy Starego Miasta) albo Sze-

roki i Wąski Dunaj upamiętniające strumień Dunaj biegnący do Wisły wzdłuż obecnej ulicy Bolesć.

Fawory – przodek Żoli

Tu, gdzie teraz jest modna dzielnica Żoliborz, była kiedyś modna dzielnica Fawory, a jeszcze wcześniej – folwark Fawory. Musiał on wyglądać bajecznie: kameduli w białych habitach podlewali warzywa na grządkach, tuczili ryby w stawach i ostrzyli narzędzia w szlifierni, patrząc na leniwie obracające się koła młyńskie na Drnie. Krajobraz znany z popularnych produkcji o Wikingach: sielski pejzaż, bogobojni mnisi i cisza przed burzą. Na polską premierę netflixowego serialu „Wikingowie” czeka się kilka miesięcy. Mnisi z Bielán warszawskich czekali na najazd skandynawski kilkaset lat i w końcu się Szwedów doczekali. Folwark jednak odbudowano.

Nadszedł rok 1768, ciekawy i obfity w zdarzenia prawie jak sienkiewiczowski 1647. Marcin Oracewicz, mieszczanin krakowski, podczas obrony miasta załadował do pistoletu srebrny guzik od żupana i trafił nim rosyjskiego generała w lewe oko.

James Cook załadował na statek na redzie przy Plymouth tony sucharów i suszonego mięsa, po czym wyruszył w podróż dookoła świata. A do rozparcelowanego folwarku Fawory załadowali się bogaci mieszczenie i szlachcice. Od tego czasu zaczęły tu powstawać modne wille i przyszyżone ogrody. Prawdopodobnie właśnie wtedy nad Wisłą pojawiły się pierwsze kolorowe leżaczki.

Popularne faworki są smażone w głębokim tłuszczu. W przepisie na „chrust lany angielski” z 1935 roku Maria Ślężyńska każe „zagotować tłuszczu zmieszanego do połowy z masłem, nabrać pełną łyżką ciasta i zlewać je, obracając łyżką w różnym kierunku do przygotowanej tłustości”. A po tłustych latach Faworów przyszły lata pruskiego drylu. Opasy beczon dobrobytu zapięto w brązowy pas. Dziś po folwarku i protopłacie modnego Żoli została jedynie ulica Fawory na terenie wojewódzkiej Cytadeli Warszawskiej.

Anax imperator: husarz władca nad Drną

Tomasz Niewczas pracuje w warszawskim Zarządzie Zieleni i prowadzi platformę ZielonyŻoliborz. Opowiada, że jego

ukochany park Fosa i Stoki Cytadeli urządany jest w harmonii miejskiego wypoczynku ludzi i spokojnego życia zwierząt: „Jestem w Fosie zakochany, pracuję tam i wypoczywam. Najlepszym dla mnie momentem jest maj, bo wtedy mamy w parku pierwsze koszenie. Przyroda jest wtedy soczysta. Widać dokładnie, jak park jest zorganizowany. To, co wykoszone, jest dla ludzi, a to, co nie wykoszone – dla przyrody. To jest partnerski

(albo larwę) pszczołinki i czeka, aż pszczołinka matka upasie ją znoszonym jedzeniem.

Warszawski Zarząd Zieleni wydzielił dla pszczołinek całą skarpe w parku obok Cytadeli. – Dla mnie pszczołinka to jest znak wiosny. Zaczyna się ruch, cała skarpa bżyczy i wibruje” – mówi Tomasz Niewczas. – Zaczynają się pojawiać bardzo wcześnie, na przełomie marca i kwietnia. Zapylają jako jedne z pierwszych, żywią się nektarem i pyłkiem z kwiatów wierzby. W parku jest woda, skarpa piaszkowa i wierzby, więc im się

tam podoba. Potem wierzby przekwitają, pszczołinki składają jaja w swoich norkach i znikają. W maju nie ma już po nich śladu.

Pszczołinki buszują w kwiatkach wierzby. Ba, w parku stoją nawet świetlista Wierzbowa Świątynia z witrażami w pniu starego drzewa i wiklinowe ptaki wodne postawione przez rzeźbiarza Jana Sajdaka. Aż się nie chce wierzyć, że to nie o Drnie pisał Ka-

układ – żadna ze stron nie dominuje”.

Od kiedy wokół kanału Drny pozostawiona jest nieskoszona trawa, zaczęło tętnić w niej życie. W czerwcu 2019 roku w parku przeprowadzono bioblitz. To prosta metoda badania gatunków zwierząt żyjących na danym obszarze. Brał w nim udział między innymi Tomasz Niewczas. – Formuła bioblitz jest uproszczona, ale pozwala zorientować się, na jakim poziomie bogactwa naturalnego pracujemy – mówi.

Bioblitz na Żoliborzu trwał trzy dni. Specjaliści przeszli park wzdłuż i wszerz, opisując każde napotkane żyjątko. Znaleźli w ten sposób porost mąkła tarniowa, z którego proszek dodaje się do mąki na chleb w Japonii, oraz pajaka rozciągnika natrzcinnego o złotym futrze, polującego jak tarantula. W wodzie – karasia srebrzystego z dalekiej Azji i wzdregę, nazywaną też krasnopiórką od czerwonego koloru płetw. W spisie pojawiła się też największa polska ważka: przy fontannie siedział husarz władca (*Anax imperator*), który lubi patrolować swoje ziemie leżące wzdłuż wielkich rzek i jezior.

W innych językach europejskich husarz władca nazywany jest zwykle „ważką imperatorem”. Przed swojskimi tłumaczeniami na polski dialogów ze Shreka czy Króla Lwa mieliśmy bowiem kreatywne tłumaczenia nazw ważek. Prof. Paweł Buczyński z UMCS w Lublinie napisał mi, że jeszcze w XIX wieku husarz władca nazywany był drapieżką. Pierwszy raz ważka rodzaju anax została nazwana husarzem przez lwowskiego entomologa Józefa Dziędzielewicza: „Nad modrą szybą stawu unoszą się olbrzymie husarze nęcące oko już z dala błękitną szachownicą kałduna”.

Pszczoła ziemna

Pszczołinka to pszczoła ziemna, bo buduje gniazda w trawie i szczelinach skał. Nazywają ją też samotnicą, bo nie żyje w gwarnych koloniach jak jej powietrzna kuzynka pszczoła miodna. Każda pszczołinka matka ma swoją własną norę. I nie ma łatwego życia: narażona jest zarówno na terminalny cios kapciem ze strony człowieka, jak i na przyziemne spory sąsiedzkie z innymi owadami. Na gniazdach pszczołinek żeruje np. koczownica lucernówka. Mały owad, podobny do osy, kombinuje podobnie jak kukułka – podrzuca swoje jaja do gniazd pszczołinki. Sprawa ma finał nieco bardziej mroczny niż w świecie ptaków. Nienasycona larwa koczownicy pożera jajo

zimierz Wierzyński w „Psalmie o wierzbach”:
„Ach, nie szukajcie wód babilońskich / Jedna niewielka została tu rzeka, / Wierzby szeregiem nad nią stoją, / I widać ślady kopyt końskich, / U wodopaju, / Rzeka kręta jak glista, / Rzeka pośpieszna jak mrówka, / Eufkrat i Tygrys w pastewnej równinie: / Nasza mulista / Młynówka / Tędy płynie”.

Urbanizacja to renaturyzacja

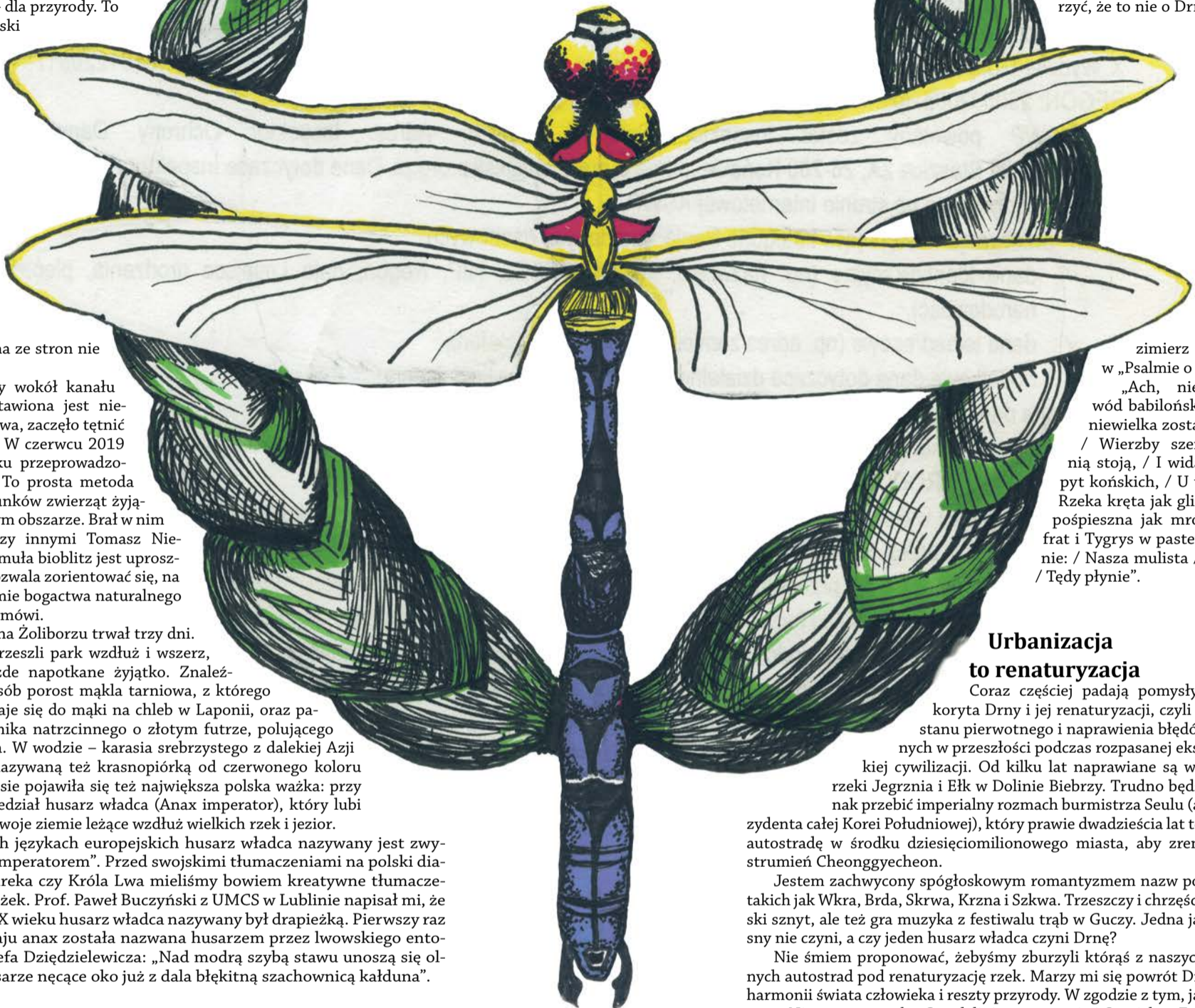
Coraz częściej padają pomysły odkopania koryta Drny i jej renaturyzacji, czyli zbliżenia do stanu pierwotnego i naprawienia błędów popełnionych w przeszłości podczas rozpasanej ekspansji ludzkiej cywilizacji. Od kilku lat naprawiane są w ten sposób rzeki Jędrnia i Ełk w Dolinie Biebrzy. Trudno będzie nam jednak przebić imperialny rozmach burmistrza Seulu (a potem prezydenta całej Korei Południowej), który prawie dwadzieścia lat temu zburzył autostradę w środku dziesięciomilionowego miasta, aby zrenaturyzować strumień Cheonggyecheon.

Jestem zachwycony spógłoskowym romantyzmem nazw polskich rzek, takich jak Wkra, Brda, Skrwa, Krzna i Szkwa. Trzeszczy i chrzęści w nich polski sznyt, ale też gra muzyka z festiwalu trąb w Guczy. Jedna jaskółka wiosny nie czyni, a czy jeden husarz władca czyni Drnę?

Nie śmiem proponować, żebyśmy zburzyli którąś z naszych drogocennych autostrad pod renaturyzację rzek. Marzy mi się powrót Drny w duchu harmonii świata człowieka i reszty przyrody. W zgodzie z tym, jak działa Tomasz Niewczas w parku Cytadeli, i tym, co mówi Stanisław Zubek: „Rzeka rzeźbi krajobraz. I sama jest rzeźbą. Naturalnym mobile. Z dodatkami orzeźwiającego zapachu wilgoci. Rzeka dźwięczy. Huk spienionego wodospadu. Pluskający po kamkach potok. Sunąca tafla ciszy przecięta rybem fikołkiem.

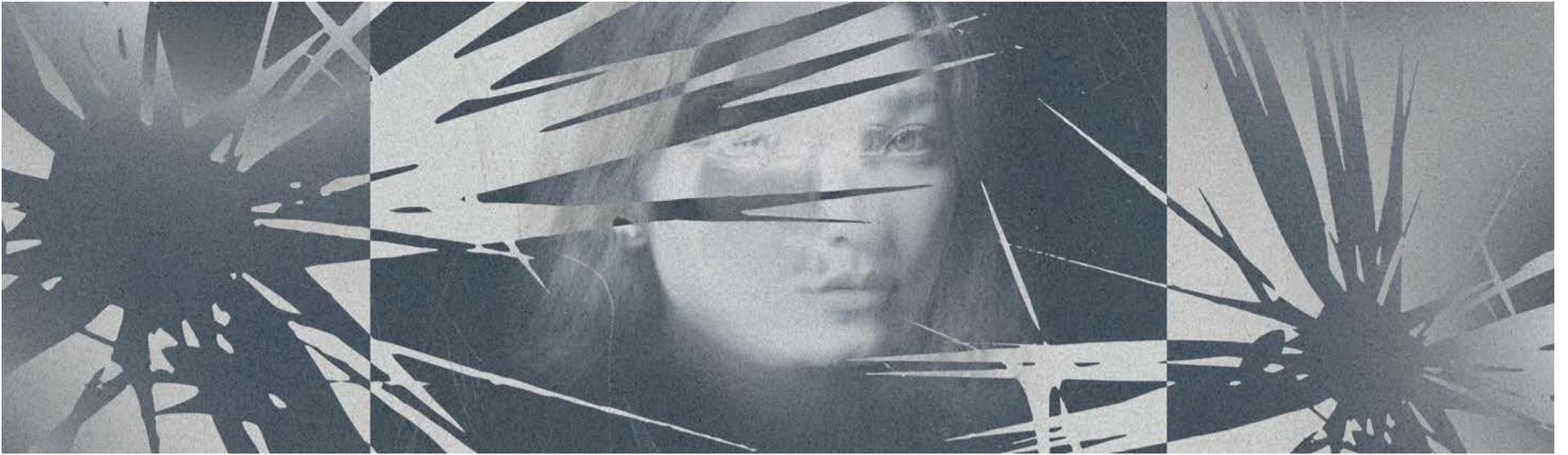
Rzeka to ekosystem. Cały świat dla wielu ryb. Rewir łowiecki dla wydry i zimorodka. A czym dla ludzi jest rzeka? (...) Człowiek przemocą – buldożerem, betonem czy ściekową rurą – usiłuje osiągnąć korzyści kosztem rzek. Zabiera im piękno i życie. Ale ten, uzasadniany często krótkowzrocznym rachunkiem, rabunek nie opłaci się. Człowiek czy rzeka? To nie tak. Niech będzie – człowiek i rzeka. W zgodzie”.

TEKST I ILUSTRACJA: FILIP JEGLIŃSKI



ANAX

IMPERATOR



Myślałam, że jeśli mnie nie bije, to nie jest przemoc

Zaczął się od pozornie niewinnych rad. Na początku naszego związku mówił, że jestem dla niego idealna. Po kilku miesiącach zasugerował jednak, że powinnam zacząć ćwiczyć, oczywiście dla własnego dobra. Potem zaproponował, żebym inaczej się ubierała, a jako przykład pokazywał mi swoje koleżanki.

Iza miała siedemnaście lat i była w drugiej klasie liceum. Nie należała do grona osób, które w każdy piątkowy wieczór wychodziły do jednego z warszawskich klubów, upijały się, po czym wracały nad ranem taksówką do domu. Jak sama o sobie mówi, nigdy nie była duszą towarzystwa. Czuła się raczej niewidoczna dla innych. Czy jej to przeszkadzało? Chyba nie. Miała niewielką grupę przyjaciół, z którymi mogła spędzać czas, i to jej wystarczyło. Z reguły nie chodziła też na randki. Interesowali się nią chłopcy, ale ona nimi raczej nie. Aż pewnego dnia niespodziewanie pojawił się Wojtek – chłopak idealny. Nazwali ten związek spełnieniem ich marzeń. Było jak w bajce. Kochał, rozpieszczał, wprowadzał ją w swoje towarzystwo. Często słyszała, że jest dla niego najważniejsza, że nie ma drugiej takiej jak ona. Wychodzili do drogich restauracji, wyjeżdżali na wakacje za granicę. Iza nie mogła sobie na to wszystko pozwolić – była przecież w liceum i nie zarabiała – ale Wojtek był starszy. Miał pieniądze, chętnie płacił za ich wieczorną kolację czy wspólną wycieczkę. I sielanka trwała w najlepsze... aż powoli zaczęło się to zmieniać. Albo to Iza po prostu zauważyła coś, na co wcześniej nie zwracała uwagi.

TO TYLKO NIEWINNE RADY

Na początku związku Iza słyszała, że jest idealna. Piękna, zabawna i inteligentna. Niczego jej nie brakowało. Była ambitna, miała jasno określony cel w życiu, do którego dążyła. To imponowało Wojtkowi. Lubił to, że wiedziała, czego chce. Sam zresztą taki był. Zawsze biła od nie-

go pewność siebie, co z kolei imponowało Izcie, bo ona pewna siebie nie była. Ale Wojtek przecież to wiedział, więc nie musiała się tym martwić. Po kilku miesiącach po raz pierwszy usłyszała od niego, że powinna zacząć ćwiczyć. Oczywiście dla jej własnego dobra. Nie sprzeciwiała się. Nie przytyła od początku ich związku, ale faktycznie była mało aktywna fizycznie. Później okazało się, że mogłaby też inaczej się ubierać. Na przykład tak jak koleżanki Wojtka. Pokazywał jej zdjęcia innych dziewczyn i mówił, że taka sukienka by jej pasowała. Nie lubił też, gdy Iza brała włosy za ucho. Twierdził, że nie wyglądała wtedy dobrze. Prosił więc, żeby tego nie robiła. I pewnie miał rację.

To były tylko niewinne rady. Chciał dla niej dobrze, bo bardzo ją kochał. Z początku cicha i spokojna natura Izy była bardzo pociągająca. Jej chłopak mówił, że nie jest taka jak inne dziewczyny w jej wieku. Była o wiele dojrzała. Nie przeszkadzało mu to, że nie była duszą towarzystwa. Kiedyś nawet powiedział, że powinna zostać w domu, żeby mogli spędzić wspólnie weekend, zamiast jechać na urodziny jej przyjaciółki. On nie został wtedy zaproszony. Miało to być spotkanie tylko dla najbliższych osób, a on się do nich nie zaliczał. Wojtek nie do końca ufał ludziom, którzy mieli być tam razem z jego dziewczyną. Iza została więc w domu. Oglądali Netflixa.

WSZYSTKO, CO LUBIŁAM, BYŁO TYM, CO LUBIŁ ON

Po roku związku Iza zdała sobie sprawę, że jej życie zaczęło polegać na robieniu rzeczy, które miały zadowa-

lać Wojtka. Nie spotykała się z ludźmi, którzy według jej chłopaka mieli na nią zły wpływ, a ponieważ, jak twierdził, większość jej znajomych była dla niej nieodpowiednia, w pewnym momencie nie spotykała się już z nikim. Jej samoocena znacznie się obniżyła i czuła, że jeżeli nie będzie idealna i nie zastosuje się do wszystkich uwag Wojtka, to ten ją zostawi. Niejednokrotnie słyszała, że jeśli nie chce postępować tak jak on, to być może do siebie nie pasują i nie powinni być razem. Ogarniała ją wtedy panika. Nie była w stanie wyobrazić sobie życia bez niego. Cały ich związek kręcił się wokół jego osoby. Jego życia, marzeń i pragnień. Wszystko, co lubiła, było tym, co lubił Wojtek. Nie miała już żadnych znajomych, własnych pasji czy ulubionych filmów. Wszystkie swoje dalsze wybory życiowe pozwalała planować jemu. Sama schodziła na dalszy plan.

Po trzech latach związek z bajki zamienił się w piekło. Wojtek zrywał z nią co najmniej dwa razy w miesiącu. Rzadko kłócili się z konkretnego powodu. Potrafiło denerwować go to, że źle się na niego spojrzała, że miała zły dzień albo że nie zrobiła czegoś po jego myśli. Wypominał jej wtedy wszystkie wyjazdy i kolacje, na które ją zabierał. Zaczęło przeszkadzać mu też to, co kiedyś tak bardzo w Izcie lubił – jej nieśmiałość. Zmusił ją nawet do pójścia na terapię, bo twierdził, że za mało się odzywa w towarzystwie i wstydzi się ją gdziekolwiek zabierać. Często po alkoholu zaczynały się awantury. Wojtek upijał się i nie znał umiaru. Potrafił wyłączać telefon i godzinami nie odbierać, bo nie chciał z nią rozmawiać. Wychodził z kolegami na

piwo i wracał po trzech dniach, a potem mówił, że to wina Izy. W kłótniach powtarzał jej, że jest nikim. Że nikt nie będzie jej chciał i zostanie sama jak palec. Byli ze sobą pięć lat. W tym czasie została zdradzona trzy razy. Nigdy nie usłyszała „przepraszam”. Za każdym razem Wojtek wszystko obracał przeciwko niej, tak że to Iza przepraszała jego. Nigdy jej nie uderzył, ale były momenty, że się tego obawiała.

MOJE CIAŁO ZACZĘŁO SIĘ BUNTOWAĆ

W pewnym momencie Iza zauważyła, że za każdym razem, gdy przychodziła do Wojtka, robiło jej się słabo. Prawie mdlała i nie była w stanie oddychać. Bała się, mimo że nie miała żadnego konkretnego powodu, żeby czuć strach – tak przynajmniej jej się wtedy wydawało. Jak tylko wychodziła z mieszkania swojego chłopaka, wszystko mijało. Wystarczył jej jeden telefon albo propozycja spotkania i znowu pojawiała się panika. Jak się później okazało – nerwica. Zdała sobie z tego sprawę dopiero w gabinecie terapeutycznym. Zaczęła też brać leki od psychiatry. Jak sama mówi, podczas związku z Wojtkiem jej organizm zaczął się buntować, a dzięki temu zbuntowała się też ona. Pewnego dnia po prostu od niego odeszła.

Każda taka historia zazwyczaj rozpoczyna się od tego samego zdania: „Zaczął się niewinnie”. Pierwsze porady, pierwsze ingerencje w wygląd, później w zachowanie i otoczenie. Potem powolne odcinanie od najbliższych osób. Następnie manipulowanie i uzależnianie od siebie. Trudno dostrzec, że ktoś nas krzywdzi, jeśli

ta osoba powtarza, że nas kocha i nie używa wobec nas przemocy fizycznej. Ale przemoc to nie tylko siniaki. Przemoc to też słowa. To wmawianie komuś, że sobie nie poradzi, naleganie na zmiany w wyglądzie i kontrolowanie tego, z kim się przyjaźni. Przemoc to wymuszanie stosunków seksualnych, ograniczanie dostępu do środków finansowych i zastraszanie werbalne. W wydarzeniach, które opisałam, nie brały udziału tylko dwie osoby. Iza jest postacią fikcyjną, która opowiada historie czterech prawdziwych kobiet. Wszystkie z nich były ofiarami przemocy psychicznej ze strony swoich partnerów i u każdej zaczęło się tak samo. Niewinnie. Żadnej z nich na początku nie przyszło na myśl, że to, co robią ich partnerzy, może być objawem jakiegokolwiek przemocy. Dopiero po latach zrozumiały, że ich problemy z poczuciem własnej wartości, z akceptacją własnego ciała i zaufaniem do drugiej osoby czy też wszystkie objawy somatyczne, które się pojawiły, były ich „siniakami” po byłych partnerach.

Jeśli podejrzewasz, że możesz być ofiarą jakiegokolwiek przemocy, nie czekaj i zgłoś się po pomoc. Istnieją fundacje i infolinie przeznaczone dla osób dotkniętych przemocą. Jeśli możesz, poproś najbliższą Ci osobę o wsparcie.

**TEKST: MARTYNA PACHOLAK
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK**

Centrum Praw Kobiet
Telefon interwencyjny (całodobowy):
600 070 717
Telefoniczny Dyżur Prawny
(czwartki, godz. 12-18): **22 621 35 37**



W sierpniu 2021 roku na łamach żoliborskiej gazety „Wilsoniak” pojawił się pierwszy wywiad z Adrianem Luzarem. Od tego czasu wiele się zmieniło. W tym wszystkim, co się dzieje dookoła nas, staramy się zachować spokój, jakkolwiek wydaje się to niemożliwe. Niektórzy, tak jak Adrian Luzar, znajdują ukojenie w sztuce.

Wiem, że od naszej ostatniej rozmowy wiele się zmieniło w Waszym teatrze. Mógłbyś trochę opowiedzieć o tych zmianach? Czy były one zaplanowane, czy raczej działały się samoistnie?

We wrześniu minionego roku zamknęliśmy nasz poprzedni spektakl pt. „Zobaczmy”, przy którym miałem szczęście pracować z wieloma utalentowanymi ludźmi. Ruszyliśmy dalej, przygotowując nowy projekt, w nieco mniejszej obsadzie, ale za to z nowymi talentami na pokładzie. „Inaczej o miłości” to dwa spektakle połączone wspólnym tematem. Na warsztat wzięliśmy mityczne uczucie, które wielu próbowało opisać, ale mało komu się udało – czyli miłość. Chcemy opowiedzieć o niej po swojemu, inaczej.

Tytuł projektu to dosyć ciekawa gra słów z nazwą Waszego teatru. Czy widzowie faktycznie zobaczą dzięki Wam miłość inaczej?

Bardzo chcę wierzyć, że tak! Na pewno rozprawimy się z romantyczną wizją miłości, którą znamy z komedii romantycznych i melodramatów. Pokażemy, jak diametralnie nasze oczekiwania różnią się od rzeczywistości. Doprowadza to do wielu zabawnych, ale czasem też przykrych sytuacji i w nowych spektaklach nie zabraknie tych emocji. Będzie i wesoło, i refleksyjnie. Tworzymy dwugodzinne widowisko, w którym każdy znajdzie coś dla siebie i w pewnym momencie – mam nadzieję – powie: „Też tak miałem!”. Spektakle są oparte na naszych własnych doświadczeniach, dzięki czemu są bardzo osobiste. Chcemy oddać naszą prawdę na scenie. Równocześnie to dwa zupełnie różne doświadczenia. Pierwszy spektakl pt. „Upał”, z Haliną Chrzanowską i Mateuszem Rumińskim, opowiada o trudnej relacji matki z synem. Chłopak wraca do domu po długiej nieobecności i wyznaje mamie prawdę o sobie. Drugi spektakl, „Jack i Rose” z Tosią Kaliciak i Piotrem Barthą, jest inspirowany melodramatem wszechczasów – „Titanikiem”. Przedstawia historię pary, która spotyka się ponownie rok po rozstaniu. Pokażemy, jak różne oblicza może mieć miłość. Jak wiele może mieć definicji.

W takim razie jak Ty definiujesz to pojęcie? W swoich sztukach starasz się szukać odpowiedzi na to pytanie czy raczej przedstawiasz swoją wizję?

Inaczej o miłości

W „Inaczej o miłości” dotykamy tematu niezwykle uniwersalnego. I dzięki temu każdy będzie miał jakieś osobiste doświadczenie – może wspomni pierwszą miłość, a może zadzwoni do rodzica, z którym dawno nie rozmawiał? Byłoby wspaniale, gdyby udało nam się wywołać takie emocje – mówi w rozmowie z „Korrespondentem” Adrian Luzar, reżyser i założyciel Teatru Inaczej.

Zdecydowanie szukam. Jestem przekonany, że jest to jedno z najtrudniejszych pojęć do uchwycenia. Każdy może odczuwać miłość inaczej. Nie da się jej określić w zamkniętych ramach, bo dla Ciebie to może być całkiem inne uczucie niż dla mnie. Ale wszyscy go pragniemy i poszukujemy. To niezwykle. I o tym właśnie jest ten projekt – o poszukiwaniu miłości. O tym, że każdy z nas musi ją znaleźć, nauczyć się jej, zrozumieć po swojemu dzięki własnym doświadczeniom. Mam nadzieję, że w tych trudnych czasach nasze wydarzenie doda widzom otuchy i pokaże, że miłość, choć trudna, jest możliwa. Że naprawdę istnieje i czasem wymaga tylko uważności. Jednego kroku w stronę drugiego człowieka.

Jak długo trwają przygotowania do premiery?

Pracujemy nad nowymi spektaklami od grudnia zeszłego roku, choć sam pomysł pojawił się jeszcze w trakcie prac nad „Zobaczmy”. To tam pierwszy raz zmierzaliśmy się z tematem miłości, bardzo delikatnie, ale jednak. Wtedy poczułem, że chciałbym opowiedzieć o tym więcej. Jesienią i zimą pisałem oba spektakle. Miało to bardzo terapeutyczny charakter. Teksty tworzyłem już z myślą o konkretnych aktorach. Na szczęście się zgodzili! (śmiech) I ruszyliśmy na salę prób. Po drodze dołączyła do nas Halina, jedyna aktorka, z którą wcześniej nie pracowałem. Grała rolę Matki w „Upale”. Znaleźliśmy także dwa skarby – Amandę i Marcina, moich asy-

stentów, którzy mają czujne oko i głowę pełną pomysłów. Są dla mnie dużą pomocą przy tym projekcie. Działamy, by przygotować się do premiery zaplanowanej na 25 kwietnia. Po drodze nagraliśmy także autorską piosenkę – utwór pt. „Słowa”, którego można już posłuchać w Internecie, a na żywo – w spektaklu „Jack i Rose”.

Czy zakładasz jakieś ryzyko niepowodzeń? Jak na co dzień sobie radzisz z presją?

Ryzyko leży w naturze teatru. I to jest w nim najpiękniejsze. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. Możemy być przygotowani na medal, a potem i tak w trakcie występu stanie się coś niespodziewanego. Jakiś rekwizyt nie będzie działał, ktoś pójdzie nie tam, gdzie powinien. To właśnie składa się na magię sceny. To jest moment. Żywiol. Wierzę, że nasze przygotowania i warsztat aktorów sprawią, że za każdym razem widz doświadczy niepowtarzalnego widowiska. A ponieważ teatr tworzymy razem jako grupa przyjaciół, mamy swoje wzajemne wsparcie. Jesteśmy w tym wszyscy i wszystkim nam zależy, żeby było dobrze. Nie będę kłamał, że nie ma stresu – jest, ale to bardziej uczucie ekscytacji, jak przed pierwszą randką. Naprawdę nie możemy się już doczekać spotkania z widzami.

W „Zobaczmy” pracowałeś z wieloma aktorami, teraz z dwoma zespołami dwuosobowymi. Która konfiguracja jest dla ciebie, jako reżysera, łatwiejsza?

Chyba nie potrafię tego tak określić. To po prostu inny rodzaj pracy. Gdy jest nas więcej, czasem trudniej zapanować nad energią w grupie. Trudniej uzyskać skupienie. Natomiast w pracy w duetach mogę się w pełni poświęcić dwójce aktorów. Praca jest znacznie efektywniejsza. Są jednak także zagrożenia. Gdy w grupie coś pójdzie nie tak, jest szansa, że nikt na widowni nie zauważy. Gdy w duecie pojawi się błąd, znacznie trudniej go ukryć. Dlatego naszym najważniejszym zadaniem jest osiągnięcie takiej perfekcji, że aktorzy niezależnie od sytuacji zawsze nawzajem wyratują. Wymaga to od nich ogromnego otwarcia i zaufania, które cały czas pogłęwiamy.

Do jakiej grupy odbiorców chcecie trafić? Czy ta twórczość będzie zrozumiana przez każdego?

Wiele zależy od widzów! Jestem przekonany jednak, że każdy znajdzie w tych spektaklach coś, co go poruszy lub rozbawi do łez. Jak wspominałem, w „Inaczej o miłości” dotykamy tematu niezwykle uniwersalnego. Każdy z nas ma za sobą doświadczenia miłosne, nie tylko romantyczne. To też relacje z rodzicami czy złamane serca. Miłość ma mnóstwo barw. Ale dzięki temu wierzę, że każdy będzie miał jakieś osobiste doświadczenie – może wspomni pierwszą miłość, a może po wszystkim zadzwoni do rodzica, z którym dawno nie rozmawiał? Byłoby wspaniale, gdyby udało nam się wywołać takie emocje.

Jak przebiegały poszukiwania teatru, w którym moglibyście wystawić spektakl? Czy było duże zainteresowanie?

Jesteśmy ogromnie szczęśliwi, że mimo trudności, które dla wielu branż, także dla kultury, przyniosła pandemia, podjęliśmy współpracę z kilkoma miejscami, w których będzie można zobaczyć nasze wydarzenie. Na początek są to Teatr Scena Współczesna (25 kwietnia) i Okęcka Sala Widowiskowa (29 kwietnia). W maju planujemy kolejne występy, a następnie ruszymy ze spektaklami do innych miast.

Zapytałem wcześniej o ryzyko niepowodzeń... A co jeśli Twój projekt okaże się strzałem w dziesiątkę? Masz jakieś plany na wielki tour Teatru Inaczej?

Bardzo liczymy na to, że na żadną górę lodową po drodze nie wpadniemy i „Inaczej o miłości” będzie sukcesem na miarę filmowego „Titanica”! A mówiąc poważnie, skupiamy się obecnie na występach premierowych 25 i 29 kwietnia w Warszawie. Na pewno będziemy robić wszystko, by było to dla widzów wyjątkowe przeżycie oraz by mogło cieszyć się nim jak najszerze grono odbiorców.

ROZMAWIAŁ: HUBERT ZARZYCKI
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK



Airbnb. Ekonomia współdzielenia, ale coraz częściej tylko kosztów

Pojęcie ekonomii współdzielenia szturmem wdarło się kilka lat temu do naszego życia codziennego. Wraz ze wzrostem popularności zniknął jednak element współdzielenia. A przynajmniej współdzielenia zysków, bo firmy z obszaru sharing economy aż nazbyt chętnie dzielą się kosztami. Nie inaczej jest z Airbnb.

Wychodzimy ze współdzielonej przestrzeni coworkingowej, wsiadamy do współdzielonego ubera, w którym podczas jazdy przeglądamy na telefonie współdzielone akcje crowdfundingowe, aż w końcu dojeżdżamy do współdzielonego domku działkowego wynajętego na weekend poprzez jedną z popularnych platform internetowych. W naszym codziennym życiu ekonomii współdzielenia jest więcej niż kiedykolwiek. Sam termin (sharing economy) zaczął pojawiać się w publicznym dyskursie w okolicach kryzysu finansowego lat 2007-2009. W najprostszym rozumieniu oznacza on system ekonomiczny bazujący na udostępnianiu (głównie za pomocą internetu) i współdzieleniu istniejących oraz posiadanych już zasobów.

Ekonomia współdzielenia bez wad?

W pierwotnej formie ekonomia współdzielenia wydaje się intuicyjna i użyteczna. Jedziesz samochodem w daleką trasę i masz kilka wolnych miejsc w samochodzie? BlaBlaCar przychodzi z pomocą – twoi pasażerowie mają możliwość taniego transportu, a ty – mniejsze kosz-

ty paliwa. Wyjeżdżasz na dłuższy czas i twoje mieszkanie będzie stało puste? Udostępnij je na czas swojej nieobecności na Airbnb czy Couchsurfingu i zyskaj kilkaset złotych na czynsz i inne wydatki. Ekonomii współdzielenia szybko zdominowały jednak komercyjne przedsięwzięcia i aplikacje. Tak jak Ubera zdominowali zawodowi pełnoetatowi kierowcy, tak portal Airbnb szybko stał się okazją inwestycyjną dla rentierów i deweloperów.

Początki tego ostatniego portalu mogłyby służyć za podręcznikowy przykład ekonomii współdzielenia. Gdy w 2007 roku dwóch mieszkańców San Francisco nie miało wystarczających oszczędności, aby pokryć czynsz i koszty życia w droższym mieście nad zatoką, wpadli na pomysł postawienia dwóch dmuchanych materaców w salonie i wynajmowania ich budżetowo podróżującym turystom. 15 lat później Airbnb wyceniono na 30 miliardów dolarów, a nasz urlop możemy zaplanować w jednym z pięciu milionów mieszkań w ośmiu tysiącach miast. Twórcy platformy chcą jednak więcej. Ich celem jest osiągnięcie pułapu miliarda gości rocznie do

końca 2028 roku. Tak wielka skala sukcesu Airbnb z pewnością przerosła oczekiwania dwóch ledwo łączących koniec z końcem mieszkańców San Francisco.

Mieszkańcy czy inwestorzy?

Wraz ze wzrostem popularności portalu Airbnb wielu właścicieli nieruchomości zaczęło dostrzegać jego potencjał. W końcu portal pozwalał im zarabiać na tym samym mieszkaniu wielokrotnie więcej niż podczas zwykłego, długoterminowego wy-

najmu. Jego kolejnym atutem jest to, że praktycznie nie ma tam żadnych wymogów i formalności do spełnienia (w przeciwieństwie do profesjonalnych stron oferujących hotele i apartamenty). Sytuacja nie jest jednak równie kolorowa dla sąsiadów takich nieruchomości. Głośne imprezy, ciągły ruch na klatce schodowej czy postępująca gentryfikacja to tylko czubek góry lodowej. Pod wpływem uciążliwości turystów niektórzy mieszkańcy decydują się wyprowadzić ze swojego miejsca zamieszkania.

Na taką okazję tylko czekają inwestorzy, którzy od sfrustrowanych mieszkańców z radością odkupią mieszkanie po okazjowej cenie.

Mieszkanie, w którym w mgnieniu oka powstanie kolejne Airbnb. W wielu przypadkach występuje efekt kuli śnieżnej. Kolejne mieszkania dla turystów generują jeszcze więcej problemów, co skutkuje wyprowadzką kolejnych miejscowych. I w ten sposób kamienica w krótkim czasie zmienia się w okazały hotel. Dużo tańszy w utrzymaniu od prawdziwego, bo pozbawiony pozwoleń, obsługi czy

wymaganych zabezpieczeń. W takich sytuacjach nie trzeba długo czekać, aby ceny mieszkań i czynsze poszybowały w górę. A to z kolei wiąże się z coraz większą irytacją i sprzeciwem mieszkańców.

Airbnb w liczbach

W takim razie czas na kilka liczb, pokazujących faktyczne oddziaływanie rozwoju Airbnb w miastach. Badanie kalifornijskich naukowców z 2020 roku (Kyle Barron, Edward Kung, Davide Proserpio, „The Effect of Home-Sharing on House Prices and Rents: Evidence from Airbnb”) wykazało, że jedynoprocentowy wzrost liczby ofert w danym mieście odpowiada średnio za 0,018 proc. wzrostu cen najmu i 0,026 proc. wzrostu cen kupna nieruchomości. W hiszpańskiej Palma de Mallorca 50-proc. wzrost liczby turystów wywołał ponad 40-proc. wzrost czynszów dla zwykłych mieszkańców. Badanie przeprowadzone w Berlinie wykazało, że jeśli w najbliższym sąsiedztwie funkcjonuje apartament na wynajem krótkoterminowy, ceny czynszu okolicznych mieszkań rosną średnio o 13 centów na metr kwadratowy, a w skrajnych wypadkach nawet o 46 centów. We Florencji

Spośród wszystkich warszawskich ofert 2/3 mieszkań znajduje się w Śródmieściu i na Woli. W dzielnicach tych ofert jest tak dużo, że w przypadku Śródmieścia w pewnym momencie co dwudzieste mieszkanie było wystawione na Airbnb.



w historycznym centrum już ponad 20 proc. wszystkich mieszkań pełni rolę apartamentów dla turystów.

Rozwój najmu krótkoterminowego wywołał negatywne skutki również w Amsterdamie, Paryżu, Madrycie, Barcelonie, Pradze oraz wielu innych miastach. Rozrost Airbnb nie ominął również polskich miast. Kraków i Gdańsk od kilku lat doświadczają coraz większych negatywnych efektów najmu krótkoterminowego. W przypadku Krakowa trend wyludniania się Starego Miasta rozpoczął się na długo przed powstaniem Airbnb, ale popularność tej aplikacji tylko pogorszyła sytuację. Obecnie krakowskie Stare Miasto zamieszkuje 30 tys. osób, podczas gdy w 2000 roku było to ponad 55 tys.

Jak wygląda sytuacja w stolicy?

Warszawski rynek najmu krótkoterminowego zbadał w 2018 Instytut Badań Strukturalnych, a w 2020 roku zespół DELab Uniwersytetu Warszawskiego. Wyniki badań nie napawają optymizmem. Choć w Warszawie wystawionych jest zdecydowanie mniej mieszkań niż w innych europejskich miastach (ok. 6 tys., w porównaniu do 23 tys. w Berlinie, 20 tys. w Amsterdamie i prawie 70 tys. w Paryżu), to też da się zauważyć kilka negatywnych

trendów. Pierwszym z nich jest koncentracja przestrzenna. Spośród wszystkich warszawskich ofert 2/3 mieszkań znajduje się w Śródmieściu i na Woli. W dzielnicach tych ofert jest tak dużo, że w przypadku Śródmieścia w pewnym momencie co dwudzieste mieszkanie było wystawione na Airbnb. Nie jest to co prawda 20 proc., jak w przypadku Florencji, ale z pewnością i tak może negatywnie wpłynąć na jakość życia mieszkańców.

Kolejną istotną kwestią jest własność tych mieszkań. I tu pada kolejny element ekonomii współdzielenia w wykonaniu Airbnb, czyli oddolność i prowadzenie wynajmu przez małych, lokalnych gospodarzy i osoby prywatne. W większości nie są to bowiem pojedyncze mieszkania wynajmowane przez zwykłych mieszkańców, lecz dobrze zorganizowany, wielkoskalowy biznes. Jak wynika z badania IBS z 2018 roku, 25 proc. wszystkich ofert wystawionych na Airbnb należy do 1 proc. wynajmujących. Są to dobrze zorganizowane firmy, profesjonalnie zajmujące się najmem krótkoterminowym. Tak duża akumulacja ofert stawia Warszawę w niechlubnej czołówce europejskich miast. Gorzej jest tylko w Barcelonie, podczas gdy w Helsinkach i Kopenhadze odsetek mieszkań posiadanych przez 1 proc. jest odpowiednio dwu- i pięciokrotnie niższy.

Podobne dysproporcje występują w przypadku dochodów z wynajmu. Jak wynika z badania DELab UW, 5 proc. gospodarzy odpowiadało za 60 proc. wszystkich dochodów. W Warszawie również, podobnie jak w innych miastach, Airbnb wymiennie wpływa na ceny nieruchomości i czynszów. Badacze DELab UW oszacowali, że gdyby na Żoliborzu funkcjonował taki sam odsetek lokali Airbnb jak na Woli, ceny wzrosłyby o około 5-6 proc.

Zmiany w prawie

Jak więc temu przeciwdziałać? Możliwości jest wiele. Poszczególne miasta oddolnie decydują się wprowadzać zmiany. Berliński ratusz wprowadził ograniczenia co do tego, jakie

Jak wynika z badania IBS z 2018 roku, 25 proc. wszystkich ofert wystawionych na Airbnb należy do 1 proc. wynajmujących. Są to dobrze zorganizowane firmy, profesjonalnie zajmujące się najmem krótkoterminowym. Tak duża akumulacja ofert stawia Warszawę w niechlubnej czołówce europejskich miast.

mieszkanie może zostać apartamentem dla turystów. Musi ono mieć odpowiednie rozmiary (mały metraż) i być mało atrakcyjne dla długoterminowych najemców. Dodatkowo każdy wynajem musi być zarejestrowany i uzgodniony z lokalnymi władzami. Osoby nieprzestrzegające reguł może czekać kara w wysokości nawet 100 tys. euro. W Londynie każdy wynajem krótkoterminowy powyżej łącznej sumy 90 dni musi zostać zarejestrowany. W Wiedniu wynajmowanych nie może być więcej niż 20 proc. lokali w budynku, a udostępnianie ich w ramach Airbnb musi być poprzedzone zgodą wszystkich mieszkańców. Najbardziej odważne kroki podjęła Barcelona, która dostosowała ograniczenia do poszczególnych dzielnic miasta. I tak w ścisłym centrum i najbardziej turystycznej części miasta nie mogą powstawać już żadne nowe lokale na wynajem, a istniejące, wraz z wygaśnięciem ich licencji, będą z upływem lat znikać.

Podjęmowane są również kroki w skali europejskiej. W 2020 roku 22 europejskie miasta (w tym Warszawa i Kraków) zwróciły się do UE z wezwaniem do regulacji najmu krótkoterminowego na pozio-

mie Wspólnoty. – Naszym obowiązkiem jest zapewnienie równych warunków funkcjonowania dla całej branży turystycznej, a więc przeciwdziałanie szarej strefie usług noclegowych dla dobra turystów, mieszkańców i budżetu miasta – zauważył w kontekście wniosku do UE Rafał Trzaskowski. Głównym postulatem europejskich metropolii jest wymuszenie na firmie udostępnienia danych o wynajmowanych lokalach. Taka zmiana pozwoliłaby wydajnie i sprawnie kontrolować funkcjonujące lokale oraz wprowadzać adekwatne do tego zmiany prawne.

Nie popadać w skrajność

Jaka jest przyszłość Airbnb w europejskich miastach? Z pewnością lata wolnoamerykanki już minęły. Inwestorów czekać będą nowe ograniczenia i wiele wymogów. Niezależnie od zmian na poziomie krajowym czy europejskim, to głównie od miast zależeć będzie skuteczność ograniczania negatywnych skutków krótkoterminowego najmu. Warszawski ratusz zauważył potencjalne ryzyka związane z platformą Airbnb. Pojawia się jednak pytanie, gdy patrzemy na inne europejskie metropolie, czy nie stało się to za późno. Pozostaje nam czekać i liczyć na przemysłane oraz odpowiedzialne działania ze strony władz lokalnych.

A co możemy zrobić jako konsumenci? Czy korzystanie z Airbnb jest etyczne? Przecież tani pokój na Airbnb dla młodych turystów stanowi często jedyną opcję, jeśli chcą zwiedzić kawałek świata. Nie można popadać w skrajność. Należy dostrzegać również zalety i możliwości, jakie stwarza ta platforma. Co ciekawe, część badań pokazuje nawet, że całkowity brak Airbnb również skutkowałby wzrostem czynszów i cen nieruchomości. Należy więc znaleźć złoty środek. Nie nadużywać Airbnb oraz być świadomym jego wad i zalet. A przy tym oczekiwać od władz lokalnych odpowiedzialnej polityki mieszkaniowej.

**TEKST: JAN GOLIŃSKI
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK**

Jaka jest przyszłość Airbnb w europejskich miastach? Z pewnością lata wolnoamerykanki już minęły. Inwestorów czekać będą nowe ograniczenia i wiele wymogów. Pojawia się jednak pytanie, gdy patrzemy na inne europejskie metropolie, czy nie stało się to za późno.

Де, що, як - план для тебе!

Шановні друзі, ситуація не є легка, ми всі це відчуваємо. В той же час ми робимо все що можливе і не можливе, щоб хочть трішки Вас підтримати і допомогти Вам! Ми хочемо зібрати для Вас найбільш важливу інформацію про те як знайти працю, залегалізувати свій побут, знайти медичну допомогу а також місце де Ваші діти зможуть якісно та корисно провести свій час.

Хочемо, щоб Ви використовували ці можливості які з'явилися для Вас в Варшаві.

Також мріємо, щоб ваші діти як найшвидше повернулися назад в дитинство.

Так що давайте включайте свій козацький драйв, та не опускайте руки, Ви не самі, бо ми з Вами!

Безкоштовна допомога:

Інформаційні пункти-

- Західний залізничний вокзал (Dworzec Zachodni Kolejowy), Алеє Єрозолимське 142, Пункт обслуговування пасажирів, рівень -1, Цілодобово.
 - Західний автовокзал -воєводський рецепційний пункт (Dworzec Zachodni Autobusowy), Алеє Єрозолимське 142, На вокзалі та парковці присутні багато ініціатив допомоги (інформація, їжа, одяг), Цілодобово.
 - Центральний вокзал (Dworzec Centralny) Алеє Єрозолимське 54, головний зал, Цілодобово.
 - Багатокультурний центр (Centrum Wielokulturowe) вул. Ягеллонська 54, Комплексна підтримка:допомога у пошуку житла, поради щодо легалізації перебування у Польщі, психологічна допомога, допомога у знайденні школи для дитини, навчання польської мови
- підтримка у працевлаштуванні, +48 22 648 11 11, +48 604 932 969, працює щоденно 8.00-20.00.

Допомога у пошуку ночівлі, житла у Варшаві

- Український дім / Фонд "Наш вибір" (Ukraiński Dom / Fundacja Nasz Wybór), вул. Заменхофа 1, +48 727 805 764, Відкрито 9.00-21.00.
- Центр білоруської солідарності (Centrum Białoruskiej Solidarności), +48 668 205 177, Відкрито: пон.-пт. 10.00-21.00.
- Юридична допомога (легалізація перебування, адміністративні питання)
- Фонд "Польський міграційний форум" (Fundacja Polskie Forum Migracyjne), +48 692 913 993, відкрито: пон.-пт.:10.00-17.00, zapisy@forummigracyjne.org.
- Асоціація правового втручання (Stowarzyszenie Interwencji Prawnej), реєстрація на чергування: пон. - пт., 15.00-16.00 за номером +48 880 145 372
- База даних юристів, які заявляють про безоплатну правову допомогу громадянам України <https://bit.ly/prawnicy-UA>.

Психологічна допомога (консультації та підтримка)

- Фонд "Оцалене (Порятунок) (Fundacja Ocalenie), Відкрито: пон.-пт.: 9.00-17.00
- Фонд "Польський міграційний форум" (Fundacja Polskie Forum Migracyjne), +48 669 981 038, відкрито: пон. год.16.00-20.00, середа, год.10.00-14.00, пт. год.14.00-18.00, Можливий контакт через Whatsapp та Viber.

Медична допомога (консультації та обстеження)

- Пункт щеплення проти Covid-19 перед Палацом культури і науки пл. Дефіляд 1, (біля виходу зі станції метро Центрум), Щоденно 8.00-20.00.

- Група LUXMED Термінова, невідкладна медична допомога. Записи за номером: +48 22 45 87 007, щоденно 9.00-17.00.
- Медичний центр "Даміан" консультації (також спеціалізовані) та обстеження (записи за номером: +48 22 566 22 22, для вибору української натисніть 8) невідкладна допомога терапевта за адресою ul. Wałbrzyska 46: пон-пт. 7.30-20.00 суб. 8.00-20.00; нед. 8.00-16.00.
- Центр пологового моніторингу (Centrum Monitoringu Położniczego) електронна КТГ для вагітних жінок (можливість перевезти обладнання по Варшаві), +48 888 065 534, +48 514 951 077.

Заняття для дітей:

- батутний парк, Al. Krakowska 61-кожна дитина з України стрибає на #jumpworldwarszawa безкоштовно.
- цикл спортивних занять для дітей та молоді з України, е-мейл: biuro@ursuswarszawa.com, телефон 535100431.
- безкоштовні заняття верховою їздою та іпотерапією для дітей, тел. 515 113 339.
- безкоштовний щоденний догляд, Приходьте до найближчої локації Fikołki або телефонуйте за номером +48 500 200 200.
- заняття з малювання, ліплення, заняття музичні, танці, заняття англійської мови, реєстрація за мейлом instruktorzy@mok-kamyk.pl.
- безкоштовні сеанси для дітей українською мовою, Blue City Aleje Jerozolimskie 179.
- кінотеатр Iluzjon запрошує на польсько-українські кіноранки для дітей. Кінотеатр запрошує дітей різного віку разом дивитися анімаційні фільми по понеділках та четвергах з 10:00 до 12:00.